

**Wisława Szymborska**

# **Poezje**

Sześć małych tomików, z tego cztery, które liczą się naprawdę. Niewiele ponad sto wierszy. A jednocześnie - jedno z najważniejszych zjawisk we współczesnej poezji polskiej. Niezwykła prostota i komunikatywność. Posługiwanie się fabułą i anegdotą. Zupełna bezpretensjonalność pisarska. A jednocześnie - jedna z poezji najambitniejszych intelektualnie, jeden ze światów poetyckich o najciekawszym sposobie istnienia.

Wiersz, którym Wisława Szymborska debiutowała, nazywał się "Szukam słowa". Dziś wolno już krytykowi zmienić tę formułę. Szymborska jest poetką, która słowa znajduje. Co bowiem uderza przede wszystkim podczas lektury jej wierszy, to niezwykła trafność, "przystawalność", odkrywczość jej sformułowań - widoczne zarówno wtedy, gdy poetka pisze o sprawach nie wychodzących poza obręb potocznego doświadczenia, jak wtedy, gdy znajduje słowa dla pojęć, stanów, sytuacji, powoływanych dopiero do istnienia.

Szymborska nie należy do poetów "nastawionych na komunikat", bez końca zastanawiających się nad stosunkiem słowa do rzeczy i bez przerwy "podejrzewających język". Nie jest metodologiem poezji. Problematyka to nieobca jej bynajmniej - świadczą o tym utwory tak dojrzałe i pełne wdzięku, jak "Radość pisania" - zawsze jednak: sfunkcjonalizowana, poddana wyższemu czy ogólniejszemu celom. Jeśli już bowiem Szymborska cokolwiek "podejrzewa", jeśli wobec czego jest sceptyczna, to nie tyle wobec języka, ile - wobec świata. Słowo jest tu - po staremu - środkiem, nie celem, środkiem, mającym w możliwie najdoskonalszy sposób przekazać to, co poetka - dobrze celów swoich świadoma - ma do powiedzenia. I może właśnie dlatego - jest tak bogate, zróżnicowane i odkrywcze.

Przyjrzyjmy się paru pierwszym z brzegu, przykładom. "Waligórzanki, żeńska fauna" - to karykatura kobiet Rubensa. "Mieć wyrok skazujący na ciężkie norwidy" - to tragikomicznie, z niewesołą autoironią, widziany los poety. Jakież przy tym majstersztyk poetyckiego dowcipu. "Grzaby, zniecki, głowy samonogie, wieloractwo" - to chimery z katedry Notre Dame. Za każdym razem mamy tu do czynienia z odmienną zasadą operowania materiałem leksykalnym i - tworzenia go, za każdym razem - z elastycznością i odkrywczością językową, które służąc różnorodnym celom, służą im w sposób równie niezawodny.

Język tej poezji wydaje się wszelako najciekawszy nie przy analizie poszczególnych sformułowań, lecz przy analizie poszczególnych wierszy, poszczególnych całości.

Oto "Koloratura" - wiersz o śpiewaczce. Jaki jest jego język, jego styl, jego konwencja? To stylizacja-parodia libretta operowego. Przeprowadzona i ze znanstwem, i z żartobliwym wdziękiem doskonała robota poetycka, zasługująca na osobną analizę. Sztukmistrzostwo, ale - wielostronnie - sfunkcjonalizowane. Zamknięty został w tej zabawie poetyckiej cały dramat, cały fragment duchowej biografii. Od naiwnego optymizmu:

Człowieka przez wysokie C  
kocha i zawsze kochać chce  
poprzez moment zachwiania się, przerażenia, aż po odzyskanie - innej już niż poprzednio,  
dojrzałej - równowagi psychicznej i miłości do ludzi. I jeśli słowa:

O nie! O nie! W godzinie złej  
nie trzeba spadać z miny swej  
brzmia jeszcze tonem żartobliwej parodii, to już w zakończeniu - kapitalnie trawestującym  
utarty, przysłowiowy zwrot - występuje ton serio:  
gdzie wraca w kryształ vox humana  
i brzmi jak światłem zasiał.

Cała ta konwencja została wystudiowana i przemyślana jako przedmiot parodii - dla  
jednego jedyne wiersza. Tego rodzaju - delikatne - stylizacje-parodie pojawiają się u  
Szymborskiej niejednokrotnie. Ale - za każdym razem - nawiązują do innego wzorca, mają  
odmienne proporcje powagi i żartu, inaczej bywają sfunkcjonalizowane.

A oto konwencja najzupełniej już odmienna: "Pieta". Maksymalnie prosty i sprozaizowany  
język trybu bezokolicznikowego w jego formie dokonanej, a funkcji imperatywnej przeplata się tu  
z równie oszczędną i prostą mową pozornie zależną. To rozmowa z matką rozstrzelanego ongiś  
bohatera: wyrażająca i dyskrecję wobec cudzego nieszczęścia, i poczucie jakiejś, niemożliwej do  
przewyciężenia, powierzchowności, nieistotności, zdawkowości tego rodzaju rozmów i spotkań:

Tak, wzrusza ją pamięć.  
Tak, trochę jest zmęczona. Tak, to przejdzie.  
Wstać. Podziękować. Pożegnać się. Wyjść  
mijając w sieni kolejnych turystów.

Wreszcie - trzeci przykład: "Atlantyda". Tu sama już struktura językowa oddaje osobliwy,  
przypuszczalny, ani prawdziwy, ani nieprawdziwy sposób istnienia legendarnego kontynentu:

Istnieli albo nie istnieli.  
Na wyspie albo nie na wyspie.  
Ocean albo nie ocean  
połknął ich albo nie.  
(.....)  
Na tej plus minus Atlantydzie.

Giętkość i odkrywczność języka, oddającego i - kształtującego - różnego rodzaju formy i możliwości istnienia to właśnie jedna z charakterystycznych cech tej poezji, jeden z elementów jej - głębszej niż czysto językowa - awangardowości. Powrócimy za chwilę do tej sprawy.

Tymczasem bowiem zarysował się już przed nami problem nie tylko przyległości i odkrywczości, ale także - zróżnicowania języka i stylu poezji Szymborskiej. Każdy niemal wiersz oparty jest tu na odmiennej zasadzie, powołuje osobną jak gdyby poetykę. I oto jedna z odpowiedzi na pytanie: dlaczego ta, tak szczupła ilościowo, twórczość może być jednocześnie tak ważnym zjawiskiem w poezji współczesnej. Odmienność jednych od drugich, "całościowość" i osobność tych wierszy sprawia przecież, że w wielu z nich tkwi w załączku cały zbiór poetycki. I niejednen z poetów uczyniłby zapewne tak: rozpiął te wiersze na tomy.

Jest to poezja głęboko indywidualistyczna: niekiedy jak gdyby w duchu Leibniza czy Giordana Bruna. "Choć różnimy się od siebie jak dwie krople czystej wody" - pisząc te słowa Szymborska niemal przecież cytuje Leibniza. Ta właśnie zasada jakościowej odrębności, zindywidualizowania monad, metafizycznego pluralizmu - znajduje swój wyraz już nawet w wyrazistej odrębności poszczególnych wierszy, z których każdy stanowi jak gdyby osobną indywidualność. Ale - rzecz jasna - zasada ta widoczna jest przede wszystkim na wyższym piętze hierarchii: w tym, co łączy ze sobą te wiersze i wyodrębnia je z tła całej współczesnej poezji.

Problematyka ta pojawia się w twórczości Szymborskiej także jako wyrażona *expressis verbis*. W wierszu świadczącym, jak ważne są dla niej lektury filozofów, poetka pisze:

W rzece Heraklita  
ja ryba pojedyncza, ja ryba odrębna  
(choćby od ryby drzewa i ryby kamienia)  
pisuję w poszczególnych chwilach małe ryby

("W rzece Heraklita")

Cały ten utwór oparty jest na owym, znakomicie wprowadzającym element niespodzianki i groteski, chwycie "mechanizmu z rybą", który przesuwa się przez świat. Zmieńmy jednak wszędzie "rybę" na "monadę" - podobnego zabiegu dokonał zresztą w jednym ze swoich tekstów i sam filozof - a otrzymamy żartobliwy i przekorny, poetycki wykład filozofii Leibniza.

Co innego wszelako wybór filozoficznej tradycji, co innego umiejętność zaświadczenia poprzez poezję - własnej odrębności i indywidualności. Szymborska umie je udokumentować. W sposób najzupełniej naturalny osiąga to, co w sztuce najważniejsze: jedność w różnorodności. Każdy z jej wierszy - tak różniących się od siebie, tak zindywidualizowanych - nosi przecież na sobie natychmiast rozpoznawalne piękno jednego stylu, jednej osobowości twórczej.

Nie miejsce tu, by sprawę tę wyjaśnić i zanalizować w pełni. Niewątpliwie jednak znaczną rolę odgrywa w owym ujednoczeniu śmiałość, z jaką poetka sięga do kolokwializmów, korzysta ze słownictwa i składni mowy potocznej, takiej, jaką - zapewne - sama posługuje się w rozmowach. Odrzucając, jak się to mówi uczenie, idiom konwencjonalny na rzecz idiomu konwersacyjnego - przybliża własne wiersze do tego, co jest jednością i jedynością psychiczną - jej własnej, jako autorki, osoby. W ten sposób uzyskuje zindywidualizowany tok zdania, a poprzez zwroty typu: "Jest świat? No to i dobrze", "Patrzcie go", "Wyszło na moje" - zwroty pojawiające się niespodzianie, w sytuacjach, które mogłyby być patetyczne - uzyskuje ponadto ów specyficzny efekt czytelniczy: niemal słyszenia głosu, który słowa te wypowiada.

\*\*\*

Poczucie wyodrębnienia jest w tej poezji wstępem do poczucia wyobcowania. Sytuację wzajemnej obcości, wzajemnego niezrozumienia, istnienia obok - Szymborska ukazuje parokrotnie w wierszu o charakterze erotyku: w "Śnie nocy letniej", w "Na wieży Babel" - tu najciekawiej bodaj: jako rozmowę-nierozmowę, w której pytania nie korespondują z odpowiedziami, w której każdy z partnerów mówi o czym innym. Aczkolwiek ogólny sens tego dialogu jest jasny: to rozstanie.

Najwyraziściej jednak i w sposób najbardziej uogólniony sprawa ta przejawiała się poprzez opozycję inną: opozycję człowieka i świata rzeczy, świata przyrody. W "Rozmowie z kamieniem" czytamy:

Pukam do drzwi kamienia.

- To ja, wpuść mnie.

(.....)

- Odejdź mówi kamień. -

Jestem szczelnie zamknięty.

(.....)

Pukam do drzwi kamienia.

- To ja, wpuść mnie.

(.....)

- Nie wejdiesz - mówi kamień. -

Brak ci zmysłu udziału.

I tak dalej - toczy się ten dialog: prośby i odmowy, pragnienia i odtrącenia, człowieka i

świata, człowieka i rzeczy, bytu dla siebie i bytu w sobie: terminy sartre'owskiego egzystencjalizmu wydają się tu jak najbardziej na miejscu.

Inspiracje natury filozoficznej łączą się u Szymborskiej - w sposób rzadko spotykany współcześnie - z inspiracjami wywodzącymi się od nauk przyrodniczych. Jak zawsze, tak i pod tym względem, Szymborska poprzez drobny konkret i szczegółową obserwację - dąży do najszerszych uogólnień, do problemów uniwersalnych. Tak dzieje się, na przykład, w wierszu "Autonomia": od strzykwy do przepaści, która nas otacza...

Centralna sprawa, która pasjonuje tu poetkę, to problem ludzkości jako biologicznego gatunku. Znow - i oto dalszy ciąg "Rozmowy z kamieniem" - jego obcości, jego wyodrębnienia i wyobcowania w świecie. Jednocześnie przecież - jak nietrudno zauważyć - podkreślona zostaje przez to w jej poezji ścisła więź międzyludzka: wspólnota łącząca człowieczeństwo wszystkich epok - nagle skoncentrowane w czasie:

Zawzięty, trzeba przyznać, bardzo.

Z tym kółkiem w nosie, w tej todze, w tym swetrze.

("Sto pociech")i zamknięte między granicami przed- i po-:

Ubyliśmy zwierzętom.

Kto ubędzie nam.

("Notatka")

Oto perspektywa, z której poetka potrafi spojrzeć na ludzkość. "Spójrzcie na siebie z gwiazd" - napisała w "Monologu dla Kasandry". Mogłaby słowa te także napisać w monologu dla Wisławy Szymborskiej.

Wielki dystans - tak znakomicie współgrający w tej poezji z wielkim drobiazgowym zbliżeniem - pozwala poetce podejmować problematykę najtrudniejszą: zawartą w podstawowych przeżyciach egzystencjalno-metafizycznych. Do najcenniejszych pod tym względem jej wierszy należy "Zdziwienie": zdziwienie poczuciem własnej tożsamości, znalezieniem się w tym, a nie innym sposobie istnienia, w tym, a nie innym momencie i miejscu czasu i przestrzeni. Zdziwienie, które leży u początków każdej - osobiście traktowanej - refleksji filozoficznej.

Skoro zaś owo miejsce, czas i - przede wszystkim - sposób istnienia taką właśnie postawę wywołują, można także wyobrazić je sobie inaczej, można uwolnić się od poczucia ich absolutnej konieczności. To, co w poezji Szymborskiej wydaje się najciekawsze, to jej "metafizyczna wyobraźnia", swoboda, z jaką poetka porusza się: w trybie warunkowym, po stronie negatywnej, w rzeczywistościach pomyślanych. Takim właśnie koncertem na inne rzeczywistości jest tom "Sto

pociech”. “Radość pisania” - to rzeczywistość utworu literackiego, “Pejzaż” - rzeczywistość malarskiego dzieła sztuki, pomieszana nagle z rzeczywistością realną. “Pamięć nareszcie” - rzeczywistość marzenia sennego. “Spis ludności”: niespodziewanie znaleziona rzeczywistość spoza historii - co z nią robić? “Dworzec” - rzeczywistość negatywna, znakomicie wyrażona językiem zaprzeczeń:

Nieprzyjazd mój do miasta N.  
odbył się punktualnie.  
Zostałeś uprzedzony  
niewysłanym listem.  
Zdażyłeś nie przyjść  
w przewidzianej porze.

Przypomnijmy jeszcze “Atlantyde” - rzeczywistość możliwą, nie oznaczoną, o której nic pewnego wyrokować nie można, rozpiętą między przeciwieństwami rzeczywistość plus minus. Przypomnijmy groteskową fantastykę metafizyczną: świat zbudowany z monad-ryb w wierszu “W rzece Heraklita”.

Wszystko to jednak nie znaczy wcale, że poezja Szymborskiej jest jakimś - rozpisany na wiersze - teoretycznym traktatem o różnych możliwościach sposobu istnienia. Metafizyczna wyobraźnia poetki jest ściśle powiązana z problematyką egzystencjalną, głęboko, osobiście, po ludzku przeżywaną. I tak, rzeczywistość utworu literackiego zostaje przywołana w wierszu, którego pointa brzmi:

Radość pisania.  
możność utrwalania.  
Zemsta ręki śmiertelnej.

- Rzeczywistość snu jest rozpatrywana w wierszu o zmarłych rodzicach; rzeczywistość negatywna - to opis niespotkania się pary kochanków.

Ważną rolę odgrywa w tych rozważaniach specyficzne potraktowanie istnienia jako - nieistnienia zaprzeczonego, jako nie-nieistnienia. Mówią o nim takie wiersze, jak “Tomasz Mann”, “Urodzony”, “Wszelki wypadek”, “Nicość przenicowała się także i dla mnie”. I tu Szymborska potrafi znaleźć odpowiedni dla przyjmowanego przez siebie punktu widzenia język. I tak, na przykład, pisze:

Narażony  
na nieobecność swoją

zawszą,  
w każdej chwili.

(.....)

A jego ruchy  
to są uchYLENIA  
od powszechnego wyroku.

(“Urodzony”)

Trudno w sposób bardziej sugestywny wyrazić kruchość ludzkiego istnienia. Trudno też - dzięki spokojnej precyzji tych wypowiedzi - zachować większą dyskrecję w wyrażaniu wzruszenia, które jest przecież równoznaczne z tym, co zazwyczaj określa się słowami: drżeć o czyjeś życie.

Jest to u Szymborskiej niemal reguła: poważna problematyka filozoficzna kryje się poza zwykłym, uniwersalnym, powszechnie zrozumiałym wzruszeniem, poza zwykłą “życiową” sytuacją.

Ale najciekawszy jest pod tym względem wiersz “Nicość przenicowała się także i dla mnie”: istna wirtuozeria owego chwytu podwójnego zaprzeczenia, mistrzostwo w ukazywaniu świata, który nie istnieje i na który patrzymy - od strony nicości.

Własne życie ogląda się tu nie jako oczywistość, która jest sama przez się zrozumiała, lecz jako niezwykłą przerwę w niebycie, z którym poetka wydaje się najzupełniej oswojona, spoufalona, gdyż - przybyła stamtąd.

Oczywiście, tego rodzaju sposób myślenia o świecie, o życiu pojawiał się niejednokrotnie i w filozofii - na przykład u Heideggera, i w poezji - na przykład u Leśmiana czy Przybosa. Nikt jednak chyba tak po prostu i naocznie, a jednocześnie z tak żartobliwym wdziękiem owej sytuacji myślowej nie przedstawił.

Nicość przenicowała się także i dla mnie.

Naprawdę wywróciła się na drugą stronę.

Gdzież ja się to znalazłam -

Od stóp do głowy wśród planet,

nawet nie pamiętając, jak mi było nie być.

“Nichts nichtet” - nicość nicestwieje - pisał Heidegger. “Nicość przenicowała się” - mówi Szymborska. Ta gra słów podaje od razu tonację: chociaż będziemy tu mówili o sprawach zasadniczych - nic z patetycznej powagi! A jednocześnie - cóż za pomysł: ta nicość, która - po swojej drugiej stronie - “ma” byt. Wystarczy ją tylko odwrócić - jak materiał. Ale słowa te można



by odczytać także i inaczej. “Nicość przeniećowała się”: jak gdyby przesiliła swoje nic, jak gdyby nasilając je do coraz większego stopnia - “nicując” i “nicując” - nagle przedostała się na drugą stronę, zamieniła się we własne przeciwieństwo.

Świat obrazem tym otwarty jest naszym zwykłym, normalnym światem. Ale jakże inaczej - w błysku owego nicościowego jasnowidzenia - został zobaczony i pokazany. Jak przez kogoś, kto patrząc na lodową górę - widział przed chwilę jej podwodną, nierównie rozleglejszą część. Jak przez kogoś, kto nagle, na własną rękę, odkrył istnienie liczb ujemnych.

Ile tam ciszy na jednego tu świerszcza,  
ile tam braku łąki na jeden tu listeczek szczawiu  
(.....)  
Przerwa w nieskończoności dla bezkresnego nieba!  
Ulga po nieprzeźreni w kształcie chwiejnej brzozy!  
Wiersz kończy się znakomitą, zaskakującą pointą:  
I doprawdy nie widzę w tym nic  
zwyczajnego.

Mamy tu do czynienia z jeszcze jednym żartem językowym: z przekornym zaprzeczeniem, odwróceniem utartego zwrotu “nic nadzwyczajnego”. Powiedzieć można: odwróciwszy nicość, odwróciwszy rzeczywistość, poetka odwraca także - konsekwentnie - słowo.

Zwróćmy jednak uwagę na co innego: cały wiersz zbudowany jest na tej zasadzie: niewidzenia w świecie, w istnieniu niczego jako zwyczajne, rozumiejące się samo przez się. Otóż, na tym właśnie polega - jak wolno sądzić - jedna z najcenniejszych wartości poetyckich: w tym, co zwyczajne, zobaczyć niezwykłość, zagadkowość, cudowność. Umieć ukazywać świat przez pryzmat metafizycznego zdziwienia - tego samego, które leży u podstaw filozoficznej refleksji nad istnieniem. Szymborskiej udało się to zrobić w sposób - by tak rzec - globalny.

\*\*\*

Tak więc, Szymborska ukrywa głębsze, filozoficzne dno swoich wierszy. Udaje, że pisze o sprawach codziennych. Ukrywa kunszt. Udaje, że pisanie wierszy to sprawa dziecinnie łatwa. Ukrywa wreszcie - tragiczny, gorzki sens swojej poezji. Udaje, że niczym znowu tak bardzo się nie przejmuję.

Jest przy tym spraw tych świadoma. W wierszu “Pod jedną gwiazdką” pisze:  
Nie miej mi za złe, mowo, że pożyczam patetycznych słów,

a potem trudu dokładam, żeby wydały się lekkie.

Dyskrecja, a zwłaszcza specyficzny humor - jeśli pamięta się o skali przeżyć, jakie w poezji tej kryją się naprawdę - należą do najbardziej ujmujących jej cech.

W wielu wypadkach dokonuje się tu zabieg - na pierwszy rzut oka dość skomplikowany. To, co mogłoby być w przekazywanych przez tę poezję reakcjach wybuchem patetycznego wzruszenia - otrzymuje znak przeciwny i wyraża się w karykaturze, drwinie, nawet - błazenadzie. Owo zastępcze wyładowanie umożliwi dyskreję, spokój i umiar wtedy, gdy potrzeba ich najbardziej: w centralnych momentach tej poezji, w centrum jej tragizmu.

Nieźrównaną formułę tego mechanizmu przynosi wiersz "Cień":

Mój cień jak błazen za królową.

(.....)

Ten prostak wziął na siebie gesty,  
patos i cały jego bezwstyd,  
to wszystko, na co nie mam sił  
- koronę, berło, płaszcz królewski.  
Będę, ach, lekka w ruchu ramion,  
ach, lekka w odwróceniu głowy,  
królu, przy naszym pożegnaniu,  
królu, na stacji kolejowej.

Królu, to błazen o tej porze,  
królu, położy się na torze.

Tej zasadzie dwubiegunowości, zasadzie odczyniania bólu przez śmiech, uśmiech, ironię, żart - Szymborska pozostaje wierna od lat. Nauczyła się dozować te dwa elementy tak, że sumują się one czy potęgują - wywołując przeżycie estetyczne niecodziennej miary.

Jednocześnie zaś - współtworząc wzorzec osobowościowy o niezwykle cennych wartościach. Nie są to już, zapewne, wartości sensu stricto poetyckie. Pisaliśmy tu jednak o wartościach czysto poetyckich niemało - możemy w zakończeniu dotknąć spraw innych.

Dwa głównie komponenty, dwie - przewyciężone - antynomie składają się na ten wzorzec. Pierwsza z nich to umiejętność pogodzenia indywidualizmu, wiemy, jak daleko posuniętego, z postawą otwartą: wobec ludzi, świata, wiedzy. Nic dalszego od Szymborskiej niż technicystyczna koncepcja poezji, niż zamknięcie się w kręgu prywatnych skojarzeń, niż hermetyzm.

Sprawa druga to właśnie umiejętność opanowania, zrównoważenia emocjonalnej postawy wobec tragicznej koncepcji świata i ludzkiego istnienia. Możemy podziwiać poetów, którzy tragizm ten ukazują nam wprost, którzy swoje lęki i fobie wyładowują przed nami, zazwyczaj uwalniając się w ten sposób od nich. Ale na większy szacunek zasługują poeci, u których wartości estetyczne i poznawcze łączą się z etycznymi. Tacy, którzy w swojej poezji tworzą - mimochodem, jak gdyby niechcący - pewien model człowieczeństwa, który może stać się wzorcem czy pomocą dla innych. Do takich poetów należy Szymborska. Do takich modeli jej - wstydzący się samego siebie, autoironiczny, prześmiewny - heroizm.

(Jerzy Kwiatkowski)

# Poezje

## Obmyślam świat

Obmyślam świat, wydanie drugie,  
wydanie drugie, poprawione,  
idiotom na śmiech,  
melancholikom na płacz,  
łysym na grzebień,  
psom na buty.

Oto rozdział:  
Mowa Zwierząt i Roślin,  
gdzie przy każdym gatunku  
masz słownik odnośny.  
Nawet proste dzień dobry  
wymienione z rybą  
ciebie, rybę i wszystkich  
przy życiu umocni.

Ta, dawno przeczuwana,  
nagle w jawie słów  
improwizacja lasu!  
Ta epika słów!  
Te aforyzmy jeża  
układane, gdy  
jesteśmy przekonani,  
że nic, tylko śpi!

Czas (rozdział drugi)  
ma prawo do wtrącania się  
we wszystko czy to złe, czy dobre.  
Jednakże - ten, co kruszy góry,  
oceany przesuwają i który  
obecny jest przy gwiazd krążeniu,

nie będzie mieć najmniejszej władzy  
nad kochankami, bo zbyt nadzy,  
bo zbyt objęci, z nastroszoną  
duszą jak wróblem na ramieniu.

Starość to tylko morał  
przy życiu zbrodniarza.  
Ach, więc wszyscy są młodzi!  
Cierpienie (rozdział trzeci)  
ciała nie znieważa.  
Śmierć,  
kiedy śpisz, przychodzi.

A śnić będziesz,  
że wcale nie trzeba oddychać,  
że cisza bez oddechu  
to niezła muzyka,  
jesteś mały jak iskra  
i gaśniesz do taktu.

Śmierć tylko taka. Bólu więcej  
miałeś trzymając różę w ręce  
i większe czuleś przerażenie  
widząc, że płatek spadł na ziemię.

Świat tylko taki. Tylko tak  
żyć. I umierać tylko tyle.  
A wszystko inne - jest jak Bach  
chwilowo grany  
na pile.

## Zakochani

Jest nam tak cicho, że słyszymy  
piosenkę zaśpiewaną wczoraj:  
“Ty pójdiesz górą, a ja doliną...”  
Chociaż słyszymy - nie wierzymy.

Nasz uśmiech nie jest maską smutku,  
a dobroć nie jest wyrzeczeniem.  
I nawet więcej, niż są warci,  
nie kochających żałujemy.

Tacyśmy zadziwieni sobą,  
że cóż nas bardziej zdziwić może?  
Ani tęcza w nocy.  
Ani motyl na śniegu.

A kiedy zasypiamy,  
we śnie widzimy rozstanie.  
Ale to dobry sen,  
ale to dobry sen,  
bo się budzimy z niego.

## **Klucz**

Był klucz i nagle nie ma klucza.  
Jak dostaniemy się do domu?  
Może ktoś znajdzie klucz zgubiony,  
obejrzy go - i cóż mu po nim?  
Idzie i w ręce go podrzuca  
jak bryłkę żelaznego złomu.

Z miłością, jaką mam dla ciebie,  
gdyby to samo się zdarzyło,  
nie tylko nam, całemu światu  
ubyłaby ta jedna miłość.  
Na obcej podniesiona ręce  
żadnego domu nie otworzy  
i będzie formą, niczym więcej,  
i niechaj rdza się nad nią sroży.

Nie z kart, nie z gwiazd, nie z krzyku pawia  
taki horoskop się ustawia.



## **Drobne ogłoszenia**

KTOKOLWIEK wie, gdzie się podziewa  
współczucie (wyobraźnia serca)  
- niech daje znać! niech daje znać!  
Na cały głos niech o tym śpiewa  
i tańczy jakby stracił rozum  
weseląc się pod wąż brzoza,  
której wciąż zbiera się na płacz.

UCZĘ milczenia  
we wszystkich językach  
metodą wpatrywania się  
w gwiazdziste niebo,  
w żuchwy sinantropusa,  
w skok pasikonika,  
w paznokcie noworodka,  
w plankton,  
w płatek śniegu.

PRZYWRACAM do miłości.  
Uwaga! Okazja!  
Na zeszłorocznej trawie  
w słońcu aż po gardła  
leżycie, a wiatr tańczy  
(zeszłoroczny ten  
wodzirej waszych włosów).  
Oferty pod: Sen.

POTRZEBNA osoba  
do oplakiwania  
starców, którzy w przytułkach  
umierają. Proszę

kandydować bez metryk  
i pisemnych zgłoszeń.  
Papiery będą darte  
bez pokwitowania.

ZA OBIETNICE męża mego,  
który was zwodził kolorami  
ludnego świata, gwarem jego,  
piosenką z okna, psem zza ściany:  
że nigdy nie będziecie sami  
w mroku i w ciszy i bez tchu  
- odpowiadać nie mogę.  
Noc, wdowa po Dniu.

## Hania

Widzicie, to jest Hania, służąca dobra.  
A to nie są patelnie, to są aureole.  
A ten rycerz ze smokiem to jest święty obraz.  
A ten smok to jest marność na tym łez padole.

A to żadne korale, to Hani różaniec.  
A to buty z nosami startymi od klęczeń.  
A to jej chustka czarna jak nocne czuwanie,  
kiedy z wieży kościoła pierwszy dzwon zadźwięczy.

Ona widziała diabła kurz ścierając z lustra:  
Był siny proszę księdza, w takie żółte prążki  
i spojrzął tak szkaradnie, i wykrzywił usta,  
i co będzie, jeżeli wpisał mnie do książki?

Więc ona da na bractwo i da na mszę świętą,  
i zakupi serduszko ze srebrnym płomieniem.  
Odkąd nową plebanię budować zaczęto,  
od razu wszystkie diabły podskoczyły w cenie.

Wielki to koszt wywodzić duszę z pokuszenia,  
a tu już starość idzie i kość kością stuka.  
Hania jest taka chuda, tak bardzo nic nie ma,  
że zabłądzi w bezmiarze Igielnego Ucha.

Maju, oddaj kolory, bądź jak grudzień bury.  
Gałązko ulistniona, ty się wstydz za siebie.  
Słońce, żałuj, że świecisz. Biczujcie się, chmury.  
Wiosno, owiń się śniegiem, a zakwitniesz w niebie!

Nie słyszałam jej śmiechu, płaczu nie słyszałam.

Wyuczona pokory, nic od życia nie chce.  
Towarzyszy jej w drodze cień - żałoba ciała,  
a chustka postrzępiona ujada na wietrze.

## **Na powitanie odrzutowców**

Dzisiaj szybsi od głosu,  
pojutrze od światła,  
przemienimy głos w żółwia  
i światło w zająca.

Ze starej przypowieści  
czcigodne zwierzęta,  
zacna para od wieków  
współzawodnicząca.

Biegałyście, biegały  
po tej niskiej ziemi,  
popróbujcie wyścigu  
na wysokim niebie.

Tor wolny. Nie będziemy  
zawadzać wam w biegu,  
bo odlecimy wcześniej  
goniąc samych siebie.

## Próba

Oj tak, piosenko, szydzisz ze mnie,  
bo choćbym poszła górą, nie zakwitnę różą.  
Różą zakwita róża i nikt inny. Wiesz.

Próbowałam mieć liście. Chciałam się zakrzewić.  
Z oddechem powstrzymanym - żeby było prędzej -  
oczekiwałam chwili zamknięcia się w róży.

Piosenko, która nie znasz nade mną litości:  
mam ciało pojedyncze, nieprzemienne w nic,  
jestem jednorazowa aż do szpiku kości.

## **Czwarta nad ranem**

Godzina z nocy na dzień.

Godzina z boku na bok.

Godzina dla trzydziestoletnich.

Godzina uprzątnięta pod kogutów paniem.

Godzina, kiedy ziemia zapiera się nas.

Godzina, kiedy wieje od wygasłych gwiazd.

Godzina a-czy-po-nas-nic-nie-pozostanie.

Godzina pusta.

Głucha, czcza.

Dno wszystkich innych godzin.

Nikomu nie jest dobrze o czwartej nad ranem.

Jeśli mrówkom jest dobrze o czwartej nad ranem

- pogratulujmy mrówkom. I niech przyjdzie piąta,

o ile mamy dalej żyć.

## **Martwa natura z balonikiem**

Zamiast powrotu wspomnień  
w czasie umierania  
zamawiam sobie powrót  
pogubionych rzeczy.

Oknami, drzwiami parasole,  
walizka, rękawiczki, płaszcz,  
żebym mogła powiedzieć:  
Na co mi to wszystko.

Agrafki, grzebień ten i tamten,  
róża z bibuły, sznurek, nóż,  
żebym mogła powiedzieć:  
Niczego mi nie żal.

Gdziekolwiek jesteś, kluczu,  
staraj się przybyć w porę,  
żebym mogła powiedzieć:  
Rdza, mój drogi, rdza.

Spadnie chmura zaświadczeń,  
przepustek i ankiet,  
żebym mogła powiedzieć:  
Słoneczko zachodzi.

Zegarku, wypłyn z rzeki,  
pozwól się wziąć do ręki,  
żebym mogła powiedzieć:  
Udajesz godzinę.

Znajdzie się też balonik



porwany przez wiatr,  
żebym mogła powiedzieć:  
Tutaj nie ma dzieci.

Odfuń w otwarte okno,  
odfuj w szeroki świat,  
niech ktoś zawoła: O!  
żebym zapłakać mogła.

## Przyjaciółom

Obeznani w przestrzeniach  
od ziemi do gwiazd,  
gubimy się w przestrzeni  
od ziemi do głowy.

Jest międzyplanetarnie  
od żalu do łąy.  
W drodze z fałszu ku prawdzie  
przystajesz być młody.

Śmieszą nas odrzutowce,  
ta szczelina ciszy  
między lotem a głosem  
- jako rekord świata.

Były szybsze odloty.  
Ich spóźniony głos  
wyszarpuje nas ze snu  
dopiero po latach.

Rozlega się wołanie:  
Jesteśmy niewinni!  
Kto to woła? Biegniemy,  
okna otwieramy.

Głos urywa się nagle.  
Za oknami gwiazdy  
spadają, jak po salwie  
tynk spada ze ściany.

## Rehabilitacja

Korzystam z najstarszego prawa wyobraźni  
i po raz pierwszy w życiu przywołuję zmarłych,  
wypatruję ich twarze, nad słuchuję kroków,  
choć wiem, że kto umarł, ten umarł dokładnie.

Czas własną głowę w ręce brać  
mówiąc jej: Biedny Jorik, gdzie twoja niewiedza,  
gdzie twoja ślepa ufność, gdzie twoja niewinność,  
twoje jakobędzie, równowaga ducha  
pomiędzy nie sprawdzoną a sprawdzoną prawdą?

Wierzyłam, że zdradzili, że niewarci imion,  
skoro chwast się natrzęsa z ich nieznanymi mogił  
i kruki przedrzeźniają, i śnieżycę szydzą  
- a to byli, Joriku, fałszywi świadkowie.

Umarłych wieczność dotąd trwa,  
dokąd pamięcią się im płaci.  
Chwiejna waluta. Nie ma dnia,  
by ktoś wieczności swej nie tracił.

Dziś o wieczności więcej wiem:  
można ją dawać i odbierać.  
Kogo nazwano zdrajcą - ten  
razem z imieniem ma umierać.

Ta nasza nad zmarłymi moc  
wymaga nierozchwianej wagi  
i żeby sąd nie sądził w noc,  
i żeby sędzia nie był nagi.

Ziemia wre - a to oni, którzy są już ziemią,  
wstają grudka po grudce, garstka obok garstki,  
wychodzą z przemilczenia, wracają do imion,  
do pamięci narodu, do wieńców i barw.

Gdzież moja władza nad słowami?  
Słowa opadły na dno łyzy,  
słowa słowa niezdatne do wskrzeszania ludzi,  
opis martwy jak zdjęcie przy blasku magnezji.  
Nawet na pół oddechu nie umiem ich zbudzić  
ja, Syzyf przypisany do piekła poezji.

Idą do nas. I ostrzy jak diament  
- po witrynach wylśnionych od frontu,  
po okienkach przytulnych mieszkańek,  
po różowych okularach, po szklanych  
mózgach, sercach - cichutko tną.

## Pogrzeb

Czaszkę z gliny wyjęli,  
położyli w marmury,  
luli luli ordery  
na poduszkach z purpury.  
Czaszkę z gliny wyjęli.

Odczytali z karteczki  
A ( był to chłop serdeczny,  
B ( zagrajcie, orkiestry,  
C ( szkoda, że nie wieczny.  
Odczytali z karteczki.

A ty oceń, narodzie,  
a ty szanuj tę zdobycz,  
że kto raz się urodzi,  
może zyskać dwa groby.  
A ty oceń, narodzie.

Nie zabrakło parady  
dla tysiąca puzonów  
i policji dla tłumów,  
i huśtania dla dzwonów.  
Nie zabrakło parady.

Mieli oczy umkliwe  
od ziemi ku niebiosom,  
czy już lecą gołębie  
i bomby w dziobkach niosą.  
Mieli oczy umkliwe.

Między nimi i ludem

miały być tylko drzewa,  
to tylko, co się w liściach  
przemilczy i prześpiewa.  
Między nimi i ludem.

A tu mosty zwodzone,  
a tu wawóz z kamienia,  
z dnem gładzonym pod czołgi,  
z echem do zadudnienia.  
A tu mosty zwodzone.

Jeszcze pełen krwi swojej  
lud odchodzi z nadzieją,  
jeszcze nie wie, że z grozy  
sznury dzwonów siwieją.

Jeszcze pełen krwi swojej.

## **Dwie małpy Bruegla**

Tak wygląda mój wielki maturalny sen:  
siedzą w oknie dwie małpy przykute łańcuchem,  
za oknem fruwa niebo  
i kąpie się morze.

Zdaję z historii ludzi.  
Jąkam się i brnę.

Małpa, wpatrzona we mnie, ironicznie słucha,  
druga niby to drzemie -  
a kiedy po pytaniu nastaje milczenie,  
podpowiada mi  
cichym brząkaniem łańcucha.

## Jeszcze

W zaplombowanych wagonach  
jadą krajem imiona,  
a dokąd tak jechać będą,  
a czy kiedy wysiędą,  
nie pytajcie, nie powiem, nie wiem.

Imię Natan bije pięścią o ścianę,  
imię Izaak śpiewa obłąkane,  
imię Sara wody woła dla imienia  
Aaron, które umiera z pragnienia.

Nie skacz w biegu, imię Dawida.  
Tyś jest imię skazujące na klęskę,  
nie dawane nikomu, bez domu,  
do noszenia w tym kraju zbyt ciężkie.

Syn niech imię słowiańskie ma,  
bo tu liczą włosy na głowie,  
bo tu dzielą dobro od zła  
wedle imion i kroju powiek.

Nie skacz w biegu. Syn będzie Lech.  
Nie skacz w biegu. Jeszcze nie pora.  
Nie skacz. Noc się rozlega jak śmiech  
i przedrzeźnia kół stukanie na torach.

Chmura z ludzi nad krajem szła,  
z dużej chmury mały deszcz, jedna łza,  
mały deszcz, jedna łza, suchy czas.  
Tory wiodą w czarny las.



Tak to, tak, stuka koło. Las bez polan.

Tak to, tak. Lasem jedzie transport wołań.

Tak to, tak. Obudzona w nocy słyszę

tak to, tak, łomotanie ciszy w ciszę.

## Sen nocy letniej

Już las w Ardenach świeci.  
Nie zbliżaj się do mnie.  
Głupia, głupia,  
zadawałam się ze światem:

Jadłam chleb, piłam wodę,  
wiatr mnie owiał, deszcz mnie zmoczył.  
Dlatego strzeż się mnie, odejdz.  
I dlatego zasłoń oczy.

Odejdz, odejdz, ale nie po lądzie.  
Odpłyn, odpłyn, ale nie po morzu.  
Odfruń, ofruń, dobry mój,  
ale powietrza nie tykaj.

Patrzmy w siebie zamkniętymi oczami.  
Mówmy sobie zamkniętymi ustami.  
Bierzmy się przez gruby mur.

Małomiastna para z nas:  
zamiast księżycy świeci las,  
a podmuch zrywa twojej damie  
radioaktywny płaszcz, Pyramie.

## Atlantyda

Istnieli albo nie istnieli.

Na wyspie albo nie na wyspie.

Ocean albo nie ocean

połączył ich albo nie.

Czy było komu kochać kogo?

Czy było komu walczyć z kim?

Działo się wszystko albo nic

tam albo nie tam.

Miast siedem stało.

Czy na pewno?

Stać wiecznie chciało.

Gdzie dowody?

Nie wymyślili prochu, nie.

Proch wymyślili, tak.

Przypuszczalni. Wątpliwi.

Nie upamiętnieni.

Nie wyjęci z powietrza,

z ognia, z wody, z ziemi.

Nie zawarci w kamieniu

ani w kropli deszczu.

Nie mogący na serio

pozować do przestróg.

Meteor spadł.

To nie meteor.

Wulkan wybuchnął.

To nie wulkan.

Ktoś wołał coś.

Niczego nikt.

Na tej plus minus Atlantydzie.

## Z nie odbytej wyprawy w Himalaje

Aha, więc to są Himalaje.  
Góry w biegu na księżyc.  
Chwila startu utrwalona  
na rozprutym nagle niebie.  
Pustynia chmur przebita.  
Uderzenie w nic.  
Echo - biała niemowa.  
Cisza.

Yeti, niżej jest środa,  
abecadło, chleb  
i dwa a dwa to cztery,  
i topnieje śnieg.  
Jest czerwone jabłuszko  
przekrojone na krzyż.

Yeti, nie tylko zbrodnie  
są u nas możliwe.  
Yeti, nie wszystkie słowa  
skazują na śmierć.

Dziedziczymy nadzieję -  
dar zapominania.  
Zobaczysz, jak rodzimy  
dzieci na ruinach.

Yeti, Szekspira mamy.  
Yeti, na skrzypcach gramy.  
Yeti, o zmroku  
zapalamy światło.

Tu - ni księżyc, ni ziemia  
i łyzy zamarzają.

O Yeti Półwardowski,  
zastanów się, wróć!

Tak w czterech ścianach lawin  
wołałam do Yeti  
przytupując dla rozgrzewki  
na śniegu  
na wiecznym.

## Nic dwa razy

Nic dwa razy się nie zdarza  
i nie zdarzy. Z tej przyczyny  
zrodziłyśmy się bez wprawy  
i pomrzemy bez rutyny.

Choćbyśmy uczniami byli  
najlepszymi w szkole świata,  
nie będziemy repetować  
żadnej zimy ani lata.

Żaden dzień się nie powtórzy,  
nie ma dwóch podobnych nocy,  
dwóch tych samych pocałunków,  
dwóch jednakich spojrzeń w oczy.

Wczoraj, kiedy twoje imię  
ktoś wymówił przy mnie głośno,  
tak mi było, jakby róża  
przez otwarte wpadła okno.

Dziś, kiedy jesteśmy razem,  
odwróciłam twarz ku ścianie.  
Róża? Jak wygląda róża?  
Czy to kwiat? A może kamie,?

Czemu ty się, zła godzino,  
z niepotrzebnym mieszasz lękiem?  
Jesteś - a więc musisz minąć.  
Miniesz - a więc to jest piękne.

Uśmiechnięci, wpółobjęci

spróbujemy szukać zgody,  
choć różnimy się od siebie  
jak dwie krople czystej wody.



## **Buffo**

Najpierw minie nasza miłość,  
potem sto i dwieście lat,  
potem znów będziemy razem:

komediantka i komediant,  
ulubieńcy publiczności,  
odegrają nas w teatrze.

Mała farsa z kupletami,  
trochę tańca, dużo śmiechu,  
trafny rys obyczajowy  
i oklaski.

Będiesz śmieszny nieodparcie  
na tej scenie, z tą zazdrością,  
w tym krawacie.

Moja głowa zawrócona,  
moje serce i korona,  
głupie serce pękające  
i korona spadająca.

Będziemy się spotykali,  
rozstawali, śmiech na sali,  
siedem rzek, siedem gór  
między sobą obmyślali.

I jakby nam było mało  
rzeczywistych klęsk i cierpień  
- dobijemy się słowami.

A potem się pokłonimy  
i to będzie farsy kres.  
Spektatorzy pójdą spać  
ubawiwszy się do łez.

Oni będą ślicznie żyli,  
oni miłość oblaskawia,  
tygrys będzie jadł z ich ręki.

A my wiecznie jacyś tacy,  
a my w czapkach z dzwoneczkami,  
w ich dzwonienie barbarzyńsko  
zasłuchani.

## Upamiętnienie

Kochali się w leszczynie  
pod słońcami rosy,  
suchych liści i ziemi  
nabrali we włosy.

Serce jaskółki,  
zmiłuj się nad nimi.

Uklękli nad jeziorem,  
wyczesali liście,  
a ryby podpływały  
do brzegu gwiazdziście.

Serce jaskółki,  
zmiłuj się nad nimi.

Odbicia drzew dymiły  
na zdrobniającej fali.  
Jaskółko, spraw, by nigdy  
nie zapominali.

Jaskółko, cierniu chmury,  
kotwico powietrza,  
ulepszony Ikarze,  
wniebowzięty fraku,

jaskółko, kaligrafio,  
wskazówko bez minut,  
wczesno-ptasi gotyku,  
zezie na niebiosach,

jaskółko, ciszo ostra,  
żałobo wesoła,  
aureolo kochanków,  
zmiłuj się nad nimi.

## Małpa

Wcześniej niż ludzie wygnana z raj,  
bo oczy miała tak zaraźliwe,  
że rozglądając się po ogródku  
nawet anioły grążyła z smutku  
nieprzewidzianym. Z tego względu  
musiała, chociaż bez pokornej zgody,  
założyć tu na ziemi swoje świetne rody.  
Skoczna, chwytna i baczna, do dziś gracyę ma  
przez y pisaną, z trzeciorzędu.

Czczona w Egipcie dawnym, z orionem  
pcheł w srebrnej od świętości grzywie,  
słuchała arcymilcząc frasobliwie,  
czego chcą od niej. Ach, nieumierania.  
I odchodziła chwiejąc rumianym kuperkiem  
na znak, że nie poleca ani nie zabrania.

W Europie duszę jej odjęto,  
ale przez nieuwagę zostawiono ręce;  
i pewien mnich malując świętą  
przydał jej dłonie wążutkie, zwierzęce.  
Musiała święta  
łaskę jak orzeszek brać.

Ciepłą jak noworodek, drżącą jak staruszek  
przywoziły okręty na królewskie dwory.  
Skowytała wzlatując na złotym łańcuchu  
w swoim fraczkumarkizim w papuzie kolory.  
Kasandra. Z czego tu się śmiać.

Jadalna w Chinach, stroi na półmisku

miny pieczone albo gotowane.  
Ironiczna jak brylant w fałszywej oprawie.  
Podobno ma subtelny smak  
jej mózg, któremu czegoś brak,  
jeżeli prochu nie wymyślił.

W bajkach osamotniona i niepewna  
wypełnia wnętrza luster grymasami,  
kpi z siebie, czyli daje dobry przykład  
nam, o których wie wszystko jak uboga krewna,  
choć się sobie nie kłaniamy.

## Lekcja

Kto co Król Aleksander kim czym mieczem  
przecina kogo co gordyjski węzeł.  
Nie przyszło to do głowy komu czemu nikomu.

Było stu filozofów - żaden nie rozplątał.  
Nic dziwnego, że teraz kryją się po kątach.  
Żołdactwo ich za brody łapie,  
za roztrzęsione, siwe, capie,  
i bucha gromki kto co śmiech.

Dość. Spojrzał król spod pióropusza,  
na konia wsiada, w drogę rusza.  
A za nim w trąb trąbieniu, w bębnieniu bębenków  
kto co armia złożona z kogo czego z węzełków  
na kogo co na bój.

## Muzeum

Są talerze, ale nie ma apetytu.  
Są obrączki, ale nie ma wzajemności  
od co najmniej trzystu lat.

Jest wachlarz - gdzie rumieńce?  
Są miecze - gdzie gniew?  
I lutnia ani brzęknie o szarej godzinie.

Z braku wieczności zgromadzono  
dziesięć tysięcy starych rzeczy.  
Omszały woźny drzemie słodko  
zwiesiwszy wąsy nad gablotką.

Metale, glina, piórko ptasie  
cichutko tryumfują w czasie.  
Chichocze tylko szpilka po śmieszce z Egiptu.

Korona przeczekwała głowę.  
Przegrała dłoń do rękawicy.  
Zwyciężył prawy but nad nogą.

Co do mnie, żyję, proszę wierzyć.  
Mój wyścig z suknią nadal trwa.  
A jaki ona upór ma!  
A jak by ona chciała przeżyć!

Chwila w Troi  
Małe dziewczynki  
chude i bez wiary,  
że piegi znikną z policzków,



nie zwracające niczyjej uwagi,  
chodzące po powiekach świata,

podobne do tatusia albo do mamusi,  
szczerze tym przerażone,

znad talerza,  
znad książki,  
sprzed lustra  
porywane bywają do Troi.

W wielkich szatniach okamgnienia  
przeobrażają się w piękne Heleny.

Wstępują po królewskich schodach  
w szumie podziwu i długiego trenu.

Czują się lekkie. Wiedzą, że  
piękność to wypoczynek,  
że mowa sensu ust nabiera,  
a gesty rzeźbią się same  
w odniechceniach natchnionym.

Twarzyczki ich  
warte odprawy posłów  
dumnie sterczą na szyjach  
godnych obłączenia.

Bruneci z filmów,  
bracia koleżanek,  
nauczyciel rysunków,  
ach, polegną wszyscy.

Małe dziewczynki

z wieży uśmiechu  
patrzą na katastrofę.

Małe dziewczynki  
ręce załamują  
w upajającym obrzędzie obłudy.

Małe dziewczynki  
na tle spustoszenia  
w diademie płonącego miasta  
z kolczykami lamentu powszechnego w uszach.

Błede i bez jednej łyżki.  
Syte widoku. Tryumfalne.  
Zasmucone tym tylko,  
że trzeba powrócić.

Małe dziewczynki  
powracające.

## Cień

Mój cień jak błazen za królową.  
Kiedy królowa z krzesła wstanie,  
błazen nastroszy się na ścianie  
i stuknie w sufit głupią głową.

Co może na swój sposób boli  
w dwuwymiarowym świecie. Może  
błaznowi źle na moim dworze  
i wołałby się w innej roli.

Królowa z okna się wychyli,  
a błazen z okna skoczy w dół.  
Tak każdą czynność podzielili,  
ale to nie jest pół na pół.

Ten prostak wziął na siebie gesty,  
patos i cały jego bezwstyd,  
to wszystko, na co nie mam sił  
- koronę, berło, płaszcz królewski.

Będę, ach, lekka w ruchu ramion,  
ach, lekka w odwróceniu głowy,  
królu, przy naszym pożegnaniu,  
królu, na stacji kolejowej.

Królu, to błazen o tej porze,  
królu, położy się na torze.

## Reszta

Ofelia odśpiewała szalone piosenki  
i wybiegła ze sceny zaniepokojona,  
czy suknia nie pomieła się, czy na ramiona  
spływały włosy tak, jak trzeba.

Na domiar prawdziwego, brwi z czarnej rozpaczy  
zmywa i - jak rodzona Poloniusza córka -  
liście wyjęte z włosów liczy dla pewności.  
Ofelio, mnie i tobie niech Dania przebaczy:  
zginę w skrzydłach, przeżyję w praktycznych pazurkach.  
Non omnis moriar z miłości.

## Clochard

W Paryżu, w dzień poranny aż do zmierzchu,  
w Paryżu jak  
w Paryżu, który  
(o święta naiwności opisu, wspomóż mnie!),  
w ogrodzie koło kamiennej katedry  
(nie zbudowano jej, o nie,  
zagrano ją na lutni)  
zasnął w sarkofagowej pozie  
clochard, mnich świecki, wyrzeczeniec.

Jeżeli nawet miał coś - to utracił,  
a utraciwszy, nie pragnie odzyskać.  
Należy mu się jeszcze żołąd za podbój Galii -  
przeboleł, już nie stoi o to.  
Nie zapłacono mu w piętnastym wieku  
za pozowanie do lewego łotra -  
zapomniał, przestał czekać już.

Zarabia na czerwone wino  
strzyżeniem okolicznych psów.  
Śpi z miną wynalazcy snów  
do słońca wyroiwszy brodę.

Odkamieniają się szare chimery  
(fruwale, niżły, małpierce i ćmięta,  
grzaby, znienacki, głowy samonogie,  
wieloractwo, gotyckie allegro vivace)

i przyglądają mu się z ciekawością,  
jakiej nie mają dla nikogo z nas,  
roztropny Piotrze,

czynny Michale,  
zaradna Ewo,  
Barbaro, Klaro.

## Słówka

- La Pologne? La Pologne? Tam strasznie zimno, prawda? - spytała mnie i odetchnęła z ulgą. Bo porobiło się tych krajów tyle, że najpewniejszy jest w rozmowie klimat.

- O pani - chcę jej odpowiedzieć - poeci mego kraju piszą w rękawicach. Nie twierdzą, że ich wcale nie zdejmują; jeżeli księżyc przygrzeje, to tak. W strofach złożonych z gromkich pohukiwań, bo tylko to przedziera się przez ryk wichury, śpiewają prosty byt pasterzy fok. Klasycy ryją soplem atramentu na przytupanych zaspach. Reszta, dekadenci, płaczą nad losem gwiazdkami ze śniegu. Kto chce się topić, musi mieć siekierę do zrobienia przerębli. O pani, o moja droga pani.

Tak chcę jej odpowiedzieć. Ale zapomniałam, jak będzie foka po francusku. Nie jestem pewna sopla i przerębli.

- La Pologne? La Pologne? Tam strasznie zimno, prawda?

- Pas du tout - odpowiadam lodowato.

## **Elegia podróżna**

Wszystko moje, nic własnością,  
nic własnością dla pamięci,  
a moje, dopóki patrzę.

Ledwie wspomniane, już niepewne  
boginie swoich głów.

Z miasta Samokow tylko deszcz  
i nic prócz deszczu.

Paryż od Luvru do paznokcia  
bielmem zachodzi.

Z bulwaru Saint-Martin zostały schodki  
i wiodą do zaniku.

Nic więcej niż półtora mostu  
w Leningradzie mostowym.

Biedna Uppsala  
z odrobiną wielkiej katedry.

Nieszczęsny tancerz sofijski,  
ciało bez twarzy.

Osobno jego twarz bez oczu,  
osobno jego oczy bez źrenic,  
osobno źrenice kota.

Kaukaski orzeł szybuje  
nad rekonstrukcją wąwozu,



złoto słońca nieszczerze  
i fałszywe kamienie.

Wszystko moje, nie własnością,  
nie własnością dla pamięci,  
a moje, dopóki patrzę.

Nieprzebrane, nieobjęte,  
a poszczególne aż do włókna,  
ziarnka piasku, kropli wody  
- krajobrazy.

Nie uchowam ani źdźbła  
w jego pełnej widzialności.

Powitanie z pożegnaniem  
w jednym spojrzeniu.

Dla nadmiaru i dla braku  
jeden ruch szyi.

## Bez tytułu

Tak bardzo pozostali sami,  
tak bardzo bez jednego słowa  
i w takiej niemiłości, że cudu są godni -  
gromu z wysokiej chmury, obrócenia w kamień.  
Dwa miliony nakładu greckiej mitologii,  
ale nie ma ratunku dla niego i dla niej.

Gdyby ktoś chociaż stanął w drzwiach,  
cokolwiek, choć na chwilę, zjawilo się, znikło,  
pocieszne, smutne, zewsząd, znikąd,  
budzące śmiech albo strach.

Ale nic się nie zdarzy. Żadne, samo z siebie,  
nieprawdopodobieństwo. Jak w mieszczańskiej dramie  
będzie to prawidłowe do końca rozstanie,  
nie uświetnione nawet dziurą w niebie.

Na ściany niezachwianym tle,  
żalśni jedno dla drugiego,  
stoją naprzeciw lustra, gdzie  
nie prócz odbicia dorzecznego.

Nic prócz odbicia dwojga osób.  
Materia ma się na baczności.

Jak długa i szeroka i wysoka,  
na ziemi i na niebie i po bokach  
pilnuje przyrodzonych losów  
- jak gdyby od sarenki nagłej w tym pokoju  
musiało runąć Universum.

## Niespodziane spotkanie

Jesteśmy bardzo uprzejmi dla siebie,  
twierdzimy, że to miło spotkać się po latach.

Nasze tygrysy piją mleko.  
Nasze jastrzębie chodzą pieszo.  
Nasze rekiny toną w wodzie.  
Nasze wilki ziewają przed otwartą klatką.

Nasze żmije otrząsnęły się z błyskawic,  
małpy z natchnień, pawie z piór.  
Nietoperze jakże dawno uleciały z naszych włosów.

Milkniemy w połowie zdania  
bez ratunku uśmiechnięci.  
Nasi ludzie  
nie umieją mówić z sobą.

## Złote gody

Musieli kiedyś być odmienni,  
ogień i woda, różnić się gwałtownie,  
obrabowywać i obdarowywać  
w pożądaniu, napaści na niepodobieństwo.  
Objęci, przywłaszczali się i wywłaszczali  
tak długo,  
aż w ramionach zostało powietrze  
przezroczyście po odlocie błyskawic.

Pewnego dnia odpowiedź padła przed pytaniem.  
Którejś nocy odgadli wyraz swoich oczu  
po rodzaju milczenia, w ciemności.

Spełza płeć, tleją tajemnice,  
w podobieństwie spotykają się różnice  
jak w bieli wszystkie kolory.

Kto z nich jest podwojony, a kogo tu brak?  
Kto się uśmiecha dwoma uśmiechami?  
Czyj głos rozbrzmiewa na dwa głosy?  
W czym potakiwaniu kiwiają głowami?  
Czym gestem podnoszą łyżeczki do ust?  
Kto z kogo tutaj skórę zdarł?  
Kto tutaj żyje, a kto zmarł  
wplątany w linie - czyjej dłoni?

Pomału z zapażenia rodzą się bliźnięta.  
Zażyłość jest najdoskonalszą z matek -  
nie wyróżnia żadnego z dwojga swoich dzieciak,  
które jest które, ledwie że pamięta.

W dniu złotych godów, w uroczystym dniu  
jednakowo ujrzany gołąb siadł na oknie.

## Obóz głodowy pod Jasłem

Napisz to. Napisz. Zwykłym atramentem  
na zwykłym papierze: nie dano im jeść,  
wszyscy pomarli z głodu. Wszyscy. Ilu?  
To duża łąka. Ile trawy  
przypadło na jednego? Napisz: nie wiem.  
Historia zaokrągliła szkielety do zera.  
Tysiąc i jeden to wciąż jeszcze tysiąc.  
Ten jeden, jakby go wcale nie było:  
płód urojony, kołyska próżna,  
elementarz otwarty dla nikogo,  
powietrze, które śmieje się, krzyczy i rośnie,  
schody dla pustki zbiegającej do ogrodu,  
miejsce niczyje w szeregu.

Jesteśmy na tej łące, gdzie stało się ciałem.  
A ona milczy jak kupiony świadek.  
W słońcu. Zielona. Tam opodal las  
do żucia drewna, do picia spod kory -  
porcja widoku całodzienna,  
póki się nie oślepie. W górze ptak,  
który po ustach przesuwiał się cieniem  
pożywnych skrzydeł. Otwierały się szczęki,  
uderzał ząb o ząb.  
Nocą na niebie błyskał sierp  
i żął na śnione chleby.  
Nadlatywały ręce z poczerniałych ikon,  
z pustymi kielichami w palcach.  
Na różnie kolczastego drutu  
chwiał się człowiek.  
Śpiewano z ziemią w ustach. Śliczną pie.ń  
o tym, że wojna trafia prosto w serce.

Napisz, jaka tu cisza.

Tak.

## Przypowieść

Rybacy wyłowili z głębiny butelkę. Był w niej papier, a na nim takie były słowa: “Ludzie, ratujcie! Jestem tu. Ocean mnie wyrzucił na bezludną wyspę. Stoję na brzegu i czekam pomocy. Spieszcie się. Jestem tu!”

- Brakuje daty. Pewnie już za późno. Butelka mogła długo pływać w morzu - powiedział rybak pierwszy.

- I miejsce nie zostało oznaczone. Nawet ocean nie wiadomo który - powiedział rybak drugi.

- Ani za późno, ani za daleko. Wszędzie jest wyspa Tu - powiedział rybak trzeci.  
Zrobiło się nieswojo, zapadło milczenie. Prawdy ogólne mają to do siebie.



## **Ballada**

To ballada o zabitej,  
która nagle z krzesła wstała.

Ułożona w dobrej wierze,  
napisana na papierze,

Przy nie zasłoniętym oknie,  
w świetle lampy rzecz się miała.

Każdy, kto chciał, widzieć mógł.

Kiedy się zamknęły drzwi  
i zabójca zbiegł ze schodów,  
ona wstała tak jak żywi  
nagłą ciszą obudzeni.

Ona wstała, rusza głową  
i twardymi jak z pierścionka  
oczami patrzy po kątach.

Nie unosi się w powietrzu,  
ale po zwykłej podłodze,  
po skrzypiących deskach stąpa.

Wszystkie po zabójcy ślady  
pali w piecu. Aż do szczętu  
fotografii, do imentu  
sznurowadła z dna szuflady.

Ona nie jest uduszona.  
Ona nie jest zastrzelona.

Niewidoczną śmierć poniosła.

Może dawać znaki życia,  
płakać z różnych drobnych przyczyn,  
nawet krzyżeć z przerażenia  
na widok myszy.

Tak wiele  
jest słabości i śmieszności  
nietrudnych do podrobienia.

Ona wstała, jak się wstaje.

Ona chodzi, jak się chodzi.

Nawet śpiewa czesząc włosy,  
które rosną.

## Przy winie

Spojrzał, dodał mi urody,  
a ja wzięłam ją jak swoją.  
Szczęśliwa, połknęłam gwiazdę.

Pozwoliłam się wymyślić  
na podobieństwo odbicia  
w jego oczach. Tańczę, tańczę  
w zatrzęsieniu nagłych skrzydeł.

Stół jest stołem, wino winem  
w kieliszku, co jest kieliszkiem  
i stoi stojąc na stole.

A ja jestem urojona,  
urojona nie do wiary,  
urojona aż do krwi.

Mówię mu, co chce: o mrówkach  
umierających z miłości  
pod gwiazdozbiorem dmuchawca.  
Przysięgam, że biała róża,  
pokropiona winem, śpiewa.

Śmieję się, przechylam głowę  
ostrożnie, jakbym sprawdzała  
wynalazek. Tańczę, tańczę  
w zdumionej skórze, w objęciu,  
które mnie stwarza.

Ewa z żebra, Wenus z piany,  
Minerwa z głowy Jowisza  
były bardziej rzeczywiste.

Kiedy on nie patrzy na mnie,  
szukam swojego odbicia  
na ścianie. I widzę tylko  
gwóźdź, z którego zdjęto obraz.

## Kobiety Rubensa

Waligórzanki, żeńska fauna,  
jak łoskot beczek nagie.  
Gnieżdżą się w stratowanych łóżach,  
śpią z otwartymi do piania ustami.  
Źrenice ich uciekły w głąb  
i penetrują do wnętrza gruczołów,  
z których się drożdże sączą w krew.

Córy baroku. Tyje ciasto w dzieży,  
parują łaźnie, rumienia się wina,  
cwałują niebem prosięta obłoków,  
rżą trąby na fizyczny alarm.

O rozdymione, o nadmierne  
i podwojone odrzuceniem szaty,  
i potrojone gwałtownością pozy  
tłuste dania miłosne!

Ich chude siostry wstały wcześniej,  
zanim się rozwidniło na obrazie.  
I nikt nie widział, jak gęsiego szły  
po nie zamalowanej stronie płótna.

Wyganki stylu. Żebra przeliczone,  
ptasia natura stóp i dłoni.  
Na sterzących łopatkach próbują ulecieć.

Trzynasty wiek dałby im złote tło.  
Dwudziesty - dałby ekran srebrny.  
Ten siedemnasty nic dla płaskich nie ma.

Albowiem nawet niebo jest wypukłe,  
wypukli aniołowie i wypukły bóg -  
Febus wąsaty, który na spoconym  
rumaku wjeżdża do wrzącej alkowy.

## Koloratura

Stoi pod peruczką drzewa,  
na wieczne rozsypanie śpiewa  
zgłoski po włosku, po srebrzystym  
i cienkim jak pajęczka wydzielina.

Człowieka przez wysokie C  
kocha i zawsze kochać chce,  
dla niego w gardle ma lusterka,  
trzykrotnie słówek ćwiartki ćwierka  
i drobiąc grzanki do śmietanki  
karmi baranki z filizanki  
filutka z filigranu.

Ale czy dobrze słyszę? Biada!  
Czarny się fagot do niej skrada.  
Ciężka muzyka na kruczych brwiach  
porywa, łamie ją w pół ach -  
Basso Profondo, zmiłuj się,  
doremi mane thekel fares!

Chcesz, żeby zmiłła? Uwieść ją  
w zimne kulisy świata? W krainę  
chronicznej chrypki? W Tartar kataru?  
Gdzie wiekuiste pochrząkiwanie?  
Gdzie poruszają się pyszczki rybie  
dusz nieszczęśliwych? Tam?

O nie! O nie! W godzinie złej  
nie trzeba spadać z miny swej!  
Na włosie przesłyszonym w głos  
tylko się chwilkę chwieje los,

tyle, by mogła oddech wziąć  
i echem się pod sufit wspiąć,  
gdzie wraca w kryształ vox humana  
i brzmi jak światłem zasiał.



## **Konkurs piękności męskiej**

Od szczęk do pięty wszedł napięty.  
Oliwne na nim firmamenty.  
Ten tylko może być wybrany,  
kto jest jak strucla zasupłany.

Z niedźwiedziem bierze się za bary  
groźnym (choć go wcale nie ma).  
Trzy niewidzialne jaguary  
padają pod ciosami trzema.

Rozkroku mistrz i przykucania.  
Brzuch ma w dwudziestu pięciu minach.  
Biją mu brawo, on się kłania  
na odpowiednich witaminach.

## Wieczór autorski

Muzo, nie być bokserem to jest nie być wcale.  
Ryczącej publiczności poskapiłaś nam.  
Dwanaście osób jest na sali,  
już czas, żebyśmy zaczęli.  
Połowa przyszła, bo deszcz pada,  
reszta to krewni. Muzo.

Kobiety rade zemdleć w ten jesienny wieczór,  
zrobią to, ale tylko na bokserskim meczu.  
Dantejskie sceny tylko tam.  
I wniebobranie. Muzo.

Nie być bokserem, być poetą,  
mieć wyrok skazujący na ciężkie norwidy,  
z braku muskulatury demonstrować światu  
przyszłą lekturę szkolną - w najszcześniejszym razie -  
o Muzo. O Pegazie,  
aniele koński.

W pierwszym rzędku staruszek słodko sobie śni,  
że mu żona nieboszczka z grobu wstała i  
upiecze staruszkowi placek ze śliwkami.  
Z ogniem, ale niewielkim, bo placek się spali,  
zaczynamy czytanie. Muzo.

## Nagrobek

Tu leży staroświecka jak,  
autorka paru wierszy. Wieczny odpoczynek  
raczyła dać jej ziemia, pomimo że trup  
nie należał do żadnej z literackich grup.  
Ale też nic lepszego nie ma na mogile  
oprócz tej rymowanki, łopianu i sowy.  
Przechodniu, wyjmij z teczki mózg elektronowy  
i nad losem Szymborskiej podumaj przez chwilę.

## Prolog komedii

Zrobił sobie szklane skrzypce, bo chciał zobaczyć muzykę. Wyciągnął łódź na sam wierzchołek góry i czekał, kiedy morze do niego podpłynie. Nocami rozczytywał się w "Rozkładzie jazdy"; końcowe stacje rozczulały go do łez. Hodował róże przez u zwykłe. Napisał wiersz na porost włosów i jeszcze drugi na tenże. Zepsuł zegar na ratuszu, żeby wstrzymać raz na zawsze opadanie liści z drzew. W doniczce po szczypiorku chciał wykopać miasto. Chodzi z Ziemią u nogi, uśmiechnięty, pomalutku, jak dwa i dwa to dwa - szczęśliwy. Kiedy mu powiedziano, że go wcale nie ma, nie mogąc umrzeć z żalu - musiał się urodzić. Już gdzieś tam sobie żyje, mruga oczkami i rośnie. W samą porę! W dobry czas! Miłościwej Pani Naszej, Maszynie Słodkiej Roztropnej dla godziwej rozrywki i niewinnej pociechy rychło błazen się przyda.

### \*\*\* (Jestem za blisko...)

Jestem za blisko, żeby mu się śnić.  
Nie fruвам nad nim, nie uciekam mu  
pod korzeniami drzew. Jestem za blisko.  
Nie moim głosem śpiewa ryba w sieci.  
Nie z mego palca toczy się pierścioneł.  
Jestem za blisko. Wielki dom się pali  
beze mnie wołającej ratunku. Za blisko,  
żeby na moim włosie dzwonił dzwon.  
Za blisko, żebym mogła wejść jak gość,  
przed którym rozsuwają się ściany.  
Już nigdy po raz drugi nie umrę tak lekko,  
tak bardzo poza ciałem, tak bezwiednie,  
jak niegdyś w jego śnie. Jestem za blisko,  
za blisko. Słyszę syk  
i widzę połyskliwą łuskę tego słowa,  
znieruchomiła w objęciu. On śpi,  
w tej chwili dostępniejszy widzianej raz w życiu  
kasjerce wędrownego cyrku z jednym lwem  
niż mnie leżącej obok.  
Teraz dla niej rośnie w nim dolina  
rudolistna, zamknięta ośnieżoną górą  
w lazurowym powietrzu. Ja jestem za blisko,  
żeby mu z nieba spaść. Mój krzyk  
mógłby go tylko zbudzić. Biedna,  
ograniczona do własnej postaci,  
a byłam brzozą, a byłam jaszczurką,  
a wychodziłam z czasów i atlasów  
mieniąc się kolorami skór. A miałam  
łaskę znikania sprzed zdumionych oczu,  
co jest bogactwem bogactw. Jestem blisko,  
za blisko, żeby mu się śnić.

Wysuwam ramię spod głowy śpiącego,  
zdrętwiałe, pełne wyrojonych szpilek.  
Na czubku każdej z nich, do przeliczenia,  
strąceni siedli anieli.

## Na wieży Babel

- Która godzina? - Tak, jestem szczęśliwa,  
i brak mi tylko dzwoneczka u szyi,  
który by brzęczał nad tobą, gdy śpisz.

- Więc nie słyszałaś burzy? Murem targnął wiatr,  
wieża ziewnęła jak lew, wielką bramą  
na skrzypiących zawiasach. - Jak to, zapomniałeś?  
Miałam na sobie zwykłą szarą suknię  
spinaną na ramieniu. - I natychmiast potem  
niebo pękło w stubłysku. - Jakże mogłam wejść,  
przecież nie byłeś sam. - Ujrzałem nagle  
kolory sprzed istnienia wzroku. - Szkoda,  
że nie możesz mi przyrzec. - Masz słusność,  
widocznie to był sen. - Dlaczego kłamiesz,  
dlaczego mówisz do mnie jej imieniem,  
kochasz ją jeszcze? - O tak, chciałbym,  
żebyś została ze mną. - Nie mam żalu,  
powinnam była domyślić się tego.

- Wciąż myślisz o nim? - Ależ ja nie płacę.

- I to już wszystko? - Nikogo jak ciebie.

- Przynajmniej jesteś szczerą. - Bądź spokojny,  
wyjadę z tego miasta. - Bądź spokojna,  
odejdę stąd. - Masz takie piękne ręce.

- To stare dzieje, ostrze przeszło  
nie naruszając kości. - Nie ma za co,  
mój drogi, nie ma za co. - Nie wiem  
i nie chcę wiedzieć, która to godzina.

## Sen

Mój poległy, mój w proch obrócony, mój ziemia,  
przybrawszy postać, jaką ma na fotografii:  
z cieniem liścia na twarzy, z muszlą morską w ręce,  
wyrusza do mojego snu.

Wędruje przez ciemności od nigdy zagasłe,  
przez pustki otworzone ku sobie na zawsze,  
przez siedem razy siedem razy siedem cisz.

Zjawia się na wewnętrznej stronie moich powiek,  
na tym jednym jedynym dostępnym mu świetle.  
Bije mu serce przestrelone.  
Zrywa się z włosów pierwszy wiatr.

Zaczyna istnieć łąka między nami.  
Nadlatują niebiosa z chmurami i ptactwem,  
na horyzoncie cicho wybuchają góry  
i rzeka spływa w dół w poszukiwaniu morza.

Już tak daleko widać, tak daleko,  
że dzień i noc stają się równoczesne,  
a wszystkie pory roku zaznawane naraz.

Księżyc czterokwadowy wachlarz rozpościera,  
wirują płatki śniegu razem z motylami  
i z kwitnącego drzewa spadają owoce.

Zbliżamy się do siebie. Nie wiem, czy we łzach,  
i nie wiem, czy w uśmiechach. Jeszcze jeden krok  
i posłuchamy razem twojej muszli morskiej,  
jaki tam szum tysięcznych orkiestr,



jaki tam nasz weselny marsz.

## Woda

Kropla deszczu mi spadła na rękę,  
utoczona z Gangesu i Nilu,

z wniebowziętego szronu na wąsikach foki,  
z wody rozbitych dzbanów w miastach Ys i Tyr.

Na moim wskazującym palcu  
Morze Kaspjskie jest morzem otwartym,

a Pacyfik potulnie wpływa do Rudawy  
tej samej, co fruwała chmurką nad Paryżem

w roku siedemset sześćdziesiątym czwartym  
siódmego maja o trzeciej nad ranem.

Nie starczy ust do wymówienia  
przelotnych imion twoich, wodo.

Musiałabym cię nazwać we wszystkich językach  
wypowiadając naraz wszystkie samogłoski

i jednocześnie milczeć - dla jeziora,  
które nie doczekało jakiegokolwiek nazwy

i nie ma go na ziemi - jako i na niebie  
gwiazdy odbitej w nim.

Ktoś tonął, ktoś o ciebie wołał umierając.  
Było to dawno i było to wczoraj.

Domy gasiłaś, domy porywałaś

jak drzewa, lasy jak miasta.

Byłaś w chrzcielnicach i wannach kurtyzan.

W pocałunkach, całunach.

Gryząc kamienie, karmiąc tęcze.

W pocie i rosie piramid, bżów.

Jakie to lekkie w kropli deszczu.

Jak delikatnie dotyka mnie świat.

Cokolwiek kiedykolwiek gdziekolwiek się działo,  
spisane jest na wodzie babel.

## Streszczenie

Hiob, doświadczony na ciele i mieniu, złorzeczy doli ludzkiej. To wielka poezja. Przychodzą przyjaciele i rozdzierając szaty swe badają winę Hioba przed obliczem Pana. Hiob woła, że był sprawiedliwy. Hiob nie wie, czemu dosięgnął go Pan. Hiob nie chce mówić z nimi. Hiob chce mówić z Panem. Zjawia się Pan na wozie wichru. Przed otwartym do kości chwali dzieło swoje: niebios, morza, ziemię i zwierzęta. A osobliwie Behemota, a w szczególności Lewiatana, dumą napawające bestie. To wielka poezja. Hiob słucha - nie na temat mówi Pan, bo nie na temat pragnie mówić Pan. Pośpiesznie przeto korzy się przed Panem. Teraz wypadki następują szybko. Hiob odzyskuje osły i wielbłądy, woły i owce dwakroć przyczynione. Skóra obrasta wyszczerzoną czaszkę. I Hiob pozwala na to. Hiob się godzi. Hiob nie chce psuć arcydzieła.

## **W rzece Heraklita**

W rzece Heraklita

ryba łowi ryby,  
ryba ćwiartuje rybę ostrą rybą,  
ryba buduje rybę, ryba mieszka w rybie,  
ryba ucieka z oblężonej ryby.

W rzece Heraklita

ryba kocha rybę,  
twoje oczy - powiada - lśnią jak ryby w niebie,  
chcę płynąć razem z tobą do wspólnego morza,  
o najpiękniejsza z ławicy.

W rzece Heraklita

ryba wymyśliła rybę nad rybami,  
ryba klęka przed rybą, ryba śpiewa rybie,  
prosi rybę o lepsze pływanie.

W rzece Heraklita

ja ryba pojedyncza, ja ryba odrębna  
(choćby od ryby drzewa i ryby kamienia)  
pisuję w poszczególnych chwilach małe ryby  
w łusce srebrnej tak krótko,  
że może to ciemność w zakłopotaniu mruga?

## Wiersz ku czci

Był sobie raz. Wymyślił zero.  
W kraju niepewnym. Pod gwiazdą  
dzisiaj może ciemną. Pomiędzy datami,  
na które ktoś przysięgnie. Bez imienia  
nawet spornego. Nie pozostawiając  
poniżej swego zera żadnej myśli złotej  
o życiu, które jest jak. Ani legendy,  
że dnia pewnego do zerwanej róży  
zero dopisał i związał ją w bukiet.  
Że kiedy miał umierać, odjechał w pustynię  
na stugarbnym wielbłądzie. Że zasnął  
w cieniu palmy pierwszeństwa. Że się zbudzi,  
kiedy już wszystko będzie przeliczone  
aż do ziarenka piasku. Cóż za człowiek.  
Szczeliną między faktem a zmyśleniem  
uszedł naszej uwagi. Odporny  
na każdy los. Strąca ze siebie  
każdą, jaką mu daje, postać.  
Cisza zrosła się nad nim, bez blizny po głosie.  
Nieobecność przybrała wygląd horyzontu.  
Zero pisze się samo.

## Notatka

W pierwszej gablocie  
leży kamień.  
Widzimy na nim  
niewyraźną ryse.  
Dzieło przypadku,  
jak mówią niektórzy.

W drugiej gablocie  
część kości czołowej.  
Trudno ustalić -  
zwierzęcej czy ludzkiej.  
Kość jak kość.  
Idźmy dalej.  
Tu nic nie ma.

Zostało tylko  
stare podobieństwo  
iskry skrzesej z kamienia  
do gwiazdy.  
Rozsunięta od wieków  
przestrzeń porównania  
zachowała się dobrze.

To ona  
wywabiła nas z wnętrza gatunku,  
wywiodła z kręgu snu,  
sprzed słowa sen,  
w którym, co żywe,  
rodzi się na zawsze  
i umiera bez śmierci.

To ona  
obróciła naszą głowę w ludzką  
od iskry do gwiazdy,  
od jednej do wielu,  
od każdej do wszystkich,  
od skroni do skroni  
i to, co nie ma powiek,  
otworzyła w nas.

Z kamienia  
uleciało niebo.  
Kij rozgałęził się  
w gęstwinę końców.  
Wąż uniósł żądko  
z kłębka swoich przyczyn.  
Czas się zatoczył  
w słojach drzew.  
Rozmnożyło się w echu  
wycie zbudzonego.

W pierwszej gablocie  
leży kamień.  
W drugiej gablocie  
część kości czołowej.  
Ubyliśmy zwierzętom.  
Kto ubędzie nam.  
Przez jakie podobieństwo.  
Czego z czym porównanie.



## Rozmowa z kamieniem

Pukam do drzwi kamienia.

- To ja, wpuść mnie.

Chcę wejść do twego wnętrza,  
rozejrzeć się dokoła,  
nabrać ciebie jak tchu.

- Odejdź - mówi kamień. -

Jestem szczelnie zamknięty.

Nawet rozbite na części  
będziemy szczelnie zamknięte.

Nawet starte na piasek  
nie wpuścimy nikogo.

Pukam do drzwi kamienia.

- To ja, wpuść mnie.

Przychodzę z ciekawości czystej.  
Życie jest dla niej jedyną okazją.  
Zamierzam przejść się po twoim pałacu,  
a potem jeszcze zwiedzić liść i kroplę wody.  
Niewiele czasu na to wszystko mam.  
Moja śmiertelność powinna cię wzruszyć.

- Jestem z kamienia - mówi kamień -

i z konieczności muszę zachować powagę.

Odejdź stąd.

Nie mam mięśni śmiechu.

Pukam do drzwi kamienia.

- To ja, wpuść mnie.

Słyszałam, że są w tobie wielkie puste sale,  
nie oglądane, piękne nadaremnie,

głuche, bez echa czyichkolwiek kroków.  
Przyznaj, że sam niedużo o tym wiesz.

- Wielkie i puste sale - mówi kamień -  
ale w nich miejsca nie ma.  
Piękne, być może, ale poza gustem  
twoich ubogich zmysłów.  
Możesz mnie poznać, nie zaznasz mnie nigdy.  
Całą powierzchnią zwracam się ku tobie,  
a całym wnętrzem leżę odwrócony.

Pukam do drzwi kamienia.  
- To ja, wpuść mnie.  
Nie szukam w tobie przytułku na wieczność.  
Nie jestem nieszczęśliwa.  
Nie jestem bezdomna.  
Mój świat jest wart powrotu.  
Wejdę i wyjdę z pustymi rękami.  
A na dowód, że byłam prawdziwie obecna,  
nie przedstawię niczego prócz słów,  
którym nikt nie da wiary.

- Nie wejdiesz - mówi kamień. -  
Brak ci zmysłu udziału.  
Żaden zmysł nie zastąpi ci zmysłu udziału.  
Nawet wzrok wyostrzony aż do wszechwidzenia  
nie przyda ci się na nic bez zmysłu udziału.  
Nie wejdiesz, masz zaledwie zamysł tego zmysłu,  
ledwie jego zawiązek, wyobraźnię.

Pukam do drzwi kamienia.  
- To ja, wpuść mnie.  
Nie mogą czekać dwóch tysięcy wieków  
na wejście pod twój dach.

- Jeżeli mi nie wierzysz - mówi kamień -

zwróć się do liścia, powie to, co ja.

Do kropli wody, powie to, co liść.

Na koniec spytaj włosa z własnej głowy.

Śmiech mnie rozpiera, śmiech, olbrzymi śmiech,

którym śmiać się nie umiem.

Pukam do drzwi kamienia.

- To ja, wpuść mnie.

- Nie mam drzwi - mówi kamień.

## **Radość pisania**

Dokąd biegnie ta napisana sarna przez napisany las?  
Czy z napisanej wody pić,  
która jej pyszczek odbije jak kalka?  
Dlaczego łeb podnosi, czy coś słyszy?  
Na pożyczonych z prawdy czterech nóżkach wsparta  
spod moich palców uchem strzyże.  
Cisza - ten wyraz też szeleści po papierze  
i rozgarnia  
spowodowane słowem "las" gałęzie.

Nad białą kartką czają się do skoku  
litery, które mogą ułożyć się źle,  
zdania osaczające,  
przed którymi nie będzie ratunku.

Jest w kropli atramentu spory zapas  
myśliwych z przymrużonym okiem,  
gotowych zbiec po stromym piórze w dół,  
otoczyć sarnę, złożyć się do strzału.

Zapominają, że tu nie jest życie.  
Inne, czarno na białym, panują tu prawa.  
Okamgnienie trwać będzie tak długo, jak zechcę,  
pozwoli się podzielić na małe wieczności  
pełne wstrzymanych w locie kul.  
Na zawsze, jeśli każę, nic się tu nie stanie.  
Bez mojej woli nawet liść nie spadnie  
ani źdźbło się nie ugnie pod kropką kopytka.

Jest więc taki świat,  
nad którym los sprawuję niezależny?

Czas, który wiąże łańcuchami znaków?  
Istnienie na mój rozkaz nieustanny?

Radość pisanie.

Możność utrwalania.

Zemsta ręki śmiertelnej.

## Pamięć nareszcie

Pamięć nareszcie ma, czego szukała.  
Znalazła mi się matka, ujrzał mi się ojciec.  
Wyśniłam dla nich stół, dwa krzesła. Siedli.  
Byli mi znowu swoi i znowu mi żyli.  
Dwoma lampami twarzy o szarej godzinie  
błyśli jak Rembrandtowi.

Teraz dopiero mogę opowiedzieć,  
w ilu snach się tułali, w ilu zbiegowiskach  
spod kół ich wyciągałam,  
w ilu agoniach przez ile mi lecieli rąk.  
Odcięci - odrastali krzywo.  
Niedorzeczność zmuszała ich do maskarady.  
Cóż stąd, że to nie mogło ich poza mną boleć,  
jeśli bolało ich we mnie.  
Śniona gawiedz słyszała, jak wołałam mamę  
do czegoś, co skakało piszcząc na gałęzi.  
I był śmiech, że mam ojca z kokardą na głowie.  
Budziłam się ze wstydem.

No i nareszcie.  
Pewnej zwykłej nocy,  
z pospolitego piątku na sobotę,  
tacy mi nagle przyszli, jakich chciałam.  
Śnili się, ale jakby ze snów wyzwoleni,  
posłuszni tylko sobie i niczemu już.  
W głębi obrazu zgasły wszystkie możliwości,  
przypadkom brakło koniecznego kształtu.  
Tylko oni jaśnieli piękni, bo podobni.  
Zdawali mi się długo, długo i szczęśliwie.

Zbudziłam się. Otwarłam oczy.  
Dotknęłam świata jak rzeźbionej ramy.

## Pejzaż

W pejzażu starego mistrza  
drzewa mają korzenie pod olejną farbą,  
ścieżka na pewno prowadzi do celu,  
sygnaturę z powagą zastępuje źdźbło,  
jest wiarygodna piąta po południu,  
maj delikatnie, ale stanowczo wstrzymany,  
więc i ja przystanąłam - ależ tak, drogi mój,  
to ja jestem ta niewiasta pod jesionem.

Przyjrzyj się, jak daleko odeszłam od ciebie,  
jaki mam biały czepek i żółtą spódnicę,  
jak mocno trzymam koszyk, żeby nie wypaść z obrazu,  
jak paraduję sobie w cudzym losie  
i odpoczywam od żywych tajemnic.

Choćbyś zawołał, nie usłyszę,  
a choćbym usłyszała, nie odwrócę się,  
a choćbym i zrobiła ten niemożliwy ruch,  
twoja twarz wyda mi się obca.

Znam świat w promieniu sześciu mil.  
Znam zioła i zaklęcia na wszystkie boleści.  
Bóg jeszcze patrzy w czubek mojej głowy.  
Modłę się jeszcze o nienagłą śmierć.  
Wojna jest karą, a pokój nagrodą.  
Zawstydzające sny pochodzą od szatana.  
Mam oczywistą duszę jak śliwka ma pestkę.

Nie znam zabawy w serce.  
Nie znam nagości ojca moich dzieci.  
Nie podejrzewam Pieśni nad pieśniami



o pokreślony zawili brudnopis.  
To, co pragnę powiedzieć, jest w gotowych zdaniach.  
Nie używam rozpaczy, bo to rzecz nie moja,  
a tylko powierzona mi na przechowanie.

Choćbyś zabiegł mi drogę,  
choćbyś zajrzał w oczy,  
minę cię samym skrajem przepaści cieńszej niż włos.

Na prawo jest mój dom, który znam dookoła  
razem z jego schodkami i wejściem do środka,  
gdzie dzieją się historie nie namalowane:  
kot skacze na ławę,  
słońce pada na cynowy dzban,  
za stołem siedzi kościsty mężczyzna  
i reperuje zegar.

## Album

Nikt w rodzinie nie umarł z miłości.  
Co tam było, to było, ale nic dla mitu.  
Romeowie gruźlicy? Julie dyfterytu?  
Niektórzy wręcz dożyli zgrzybiałej starości.  
Żadnej ofiary braku odpowiedzi  
na list pokropiony łzami!  
Zawsze w końcu zjawiali się sąsiedzi  
z różami i binoklami.  
Żadnego zaduszenia się w stylowej szafie,  
kiedy to raptem wraca mąż kochanki!  
Nikomu te sznurówki, mantylki, falbanki  
nie przeszkodziły wejść na fotografię.  
I nigdy w duszy piekielnego Boscha!  
I nigdy z pistoletem do ogrodu!  
(Konali z kulą w czaszce, ale z innego powodu  
i na połowych noszach.)  
Nawet ta, z ekstatycznym kokiem  
i oczami podkutymi jak po balu,  
odpłynęła wielkim krwotokiem  
nie do ciebie, danserze, i nie z żalu.  
Może ktoś, dawniej, przed dagerotypem -  
ale z tych, co w albumie, nikt, o ile wiem.  
Rozśmieszały się smutki, leciał dzień za dniem,  
a oni, pocieszeni, znikali na grypę.

## Śmiech

Dziewczynka, którą byłam -  
znam ją, oczywiście.

Mam kilka fotografii  
z jej krótkiego życia.

Czuję wesołą litość  
dla paru wierszyków.

Pamiętam kilka zdarzeń.

Ale,  
żeby ten, co jest tu ze mną,  
roześmiał się i objął mnie,  
wspominam tylko jedną historyjkę:  
dziecinna miłość  
tej małej brzyduli.

Opowiadam,  
jak kochała się w studencie,  
to znaczy chciała,  
żeby spojrzął na nią.

Opowiadam, jak mu wybiegła naprzeciw  
z bandażem na zdrowej głowie,  
żeby chociaż, och, zapytał,  
co się stało.

Zabawna mała.  
Skądże mogła wiedzieć,  
że nawet rozpacz przynosi korzyści,  
jeżeli dobrym trafem  
pożyje się dłużej.

Dałabym jej na ciastko.  
Dałabym na kino.  
Idź sobie, nie mam czasu.

No przecież widzisz,  
że światło zgaszone.  
Chyba rozumiesz,  
że zamknięte drzwi.  
Nie szarp za klamkę -  
ten, co się roześmiał,  
ten, co mnie objął,  
to nie jest twój student.

Najlepiej, gdybyś wrócił,  
skąd przyszłaś.  
Nic ci nie jestem winna,  
Zwyczajna kobieta,  
która tylko wie,  
kiedy  
zdradzić cudzy sekret.

Nie patrz tak na nas  
tymi swoimi oczami  
zanadto otwartymi,  
jak oczy umarłych.

## Dworzec

Nieprzyjazd mój do miasta N.  
odbył się punktualnie.

Zostałeś uprzedzony  
niewysłanym listem.

Zdażyłeś nie przyjść  
w przewidzianej porze.

Pociąg wjechał na peron trzeci.  
Wysiadło dużo ludzi.

Uchodził w tłumie do wyjścia  
brak mojej osoby.

Kilka kobiet zastąpiło mnie  
pośpiesznie  
w tym pośpiechu.

Do jednej podbiegł  
ktoś nie znany mi,  
ale ona rozpoznała go  
natychmiast.

Oboje wymienili  
nie nasz pocałunek,  
podczas czego zginęła  
nie moja walizka.

Dworzec w mieście N.  
dobrze zdał egzamin

z istnienia obiektywnego.

Całość stała na swoim miejscu.

Szczegóły poruszały się  
po wyznaczonych torach.

Odbyło się nawet  
umówione spotkanie.

Poza zasięgiem  
naszej obecności.

W raju utraconym  
prawdopodobieństwa.

Gdzie indziej.

Gdzie indziej.

Jak te słówka dźwięczą.

## Żywy

Już tylko obejmujemy.  
Obejmujemy żywego.  
Susem już tylko serca  
umiejąc go dopaść.

Ku zgorszeniu pajęczycy,  
krewnej naszej po kądzieli,  
on nie zostanie pożarty.

Pozwalamy jego głowie,  
od wieków ułaskawionej,  
spocząć na naszym ramieniu.

Z tysiąca bardzo splątanych powodów  
mamy w zwyczaju  
słuchać, jak oddycha.

Wygwizdane z misterium.  
Rozbrojone ze zbrodni.  
Wydziedziczone z żeńskiej grozy.

Czasem tylko paznokcie  
błysną, drasną, zgasną.  
Czy wiedzą,  
czy choć mogą się domyślić,  
jakiej fortuny są ostatnim srebrem?

On już zapomniał  
uciekać przed nami.  
Nie zna, co to na karku  
wielooki strach.

Wygląda, jakby ledwie zdołał się urodzić.

Cały z nas.

Cały nasz.

Z błagalnym cieniem rzęsy

na policzku.

Z rzewnym strumykiem potu

między łopatkami.

Taki nam teraz jest

i taki zaśnie.

Ufny.

W uścisku przedawnionej śmierci.



## Urodzony

Więc to jest jego matka.  
Ta mała kobieta.  
Szarooka sprawczyni.

Łódka, w której przed laty  
przyplynał do brzegu.

To z niej się wydobywał  
na świat,  
na niewieczność.

Rodzicielka mężczyzny,  
z którym skaczą przez ogień.

Więc to ona, ta jedyna,  
co go sobie nie wybrała  
gotowego, zupełnego.

Sama go pochwyciła  
w znajomą mi skórę,  
przywiązała do kości  
ukrytych przede mną.

Sama mu wypatrzyła  
jego szare oczy,  
jakimi spojrział na mnie.

Więc to ona, alfa jego.  
Dlaczego mi ją pokazał.

Urodzony.

Więc jednak i on urodzony.  
Urodzony jak wszyscy.  
Jak ja, która umrę.

Syn prawdziwej kobiety.  
Przybysz z głębin ciała.  
Wędrowiec do omegi.

Narażony  
na nieobecność swoją  
zawsząd,  
w każdej chwili.

A jego głowa  
to jest głowa w mur  
ustępliwy do czasu.

A jego ruchy  
to są uchYLENIA  
od powszechnego wyroku.

Zrozumiałam,  
że uszedł już połowę drogi.

Ale mi tego nie powiedział,  
nie.

- To moja matka -  
powiedział mi tylko.

## Spis ludności

Na wzgórzu, gdzie stała Troja,  
odkopano siedem miast.  
Siedem miast, o sześć za dużo  
jak na jedną epopeję.  
Co z nimi zrobić, co zrobić?  
Pękają heksametry,  
afabularna cegła wyziera ze szczelin,  
w ciszy filmu niemego obalone mury,  
zwęglone belki, zerwane ogniwa,  
dzbanki wypite do utraty dna,  
amulety płodności, pestki sadów  
i czaszki dotykalne jak jutrzejszy księżyc.

Przybywa nam dawności,  
robi się w niej tłoczno,  
rozpychają się w dziejach dzicy lokatorzy,  
zastępy mięsa mieczowego,  
resztki orła-Hektora dorównujące mu męstwem,  
tysiące i tysiące poszczególnych twarzy,  
a każda pierwsza i ostatnia w czasie,  
a w każdej dwoje niebywałych oczu.  
Tak lekko było nic o tym nie wiedzieć,  
tak rzewnie, tak przestronnie.

Co z nimi robić, co im dać?  
Jakiś wiek mało zaludniony do tej pory?  
Trochę uznania dla sztuki złotniczej?  
Za późno przecież na sąd ostateczny.  
My, trzy miliardy sędziów,  
mamy swoje sprawy,  
własne nieartykułowane rojowiska,

dworce, trybuny sportowe, pochody,  
liczebne zagranice ulic, pieter, ścian.  
Mijamy się na wieczność w domach towarowych  
kupując nowy dzbanek.  
Homer pracuje w biurze statystycznym.  
Nikt nie wie, co robi w domu.

## Monolog dla Kasandry

To ja, Kasandra.

A to jest moje miasto pod popiołem.

A to jest moja laska i wstążki prorockie.

A to jest moja głowa pełna wątpliwości.

To prawda, tryumfuję.

Moja racja aż luną uderzyła w niebo.

Tylko prorocy, którym się nie wierzy,  
mają takie widoki.

Tylko ci, którzy źle zabrali się do rzeczy,  
i wszystko mogło spełnić się tak szybko,  
jakby nie było ich wcale.

Wyraźnie teraz przypominam sobie,  
jak ludzie, widząc mnie, milkli wpół słowa.

Rwał się śmiech.

Rozplatały się ręce.

Dzieci biegły do matki.

Nawet nie znałam ich nietrwałych imion.

A ta piosenka o zielonym listku -  
nikt jej nie kończył przy mnie.

Kochałam ich.

Ale kochałam z wysoka.

Sponad życia.

Z przyszłości. gdzie zawsze jest pusto  
i skąd cóż łatwiejszego jak zobaczyć śmierć.

Żałuję, że mój głos był twardy.

Spójrzcie na siebie z gwiazd - wołałam -  
spójrzcie na siebie z gwiazd.

Słyszeli i spuszczaali oczy.

Żyli w życiu.

Podszyli wielkim wiatrem.

Przesądzeni.

Od urodzenia w pożegnalnych ciałach.

Ale była w nich jakaś wilgotna nadzieja,  
własną migotliwością sycący się płomyk.

Oni wiedzieli, co to takiego jest chwila,

och bodaj jedna jakakolwiek

zanim -

wyszło na moje.

Tylko że z tego nie wynika nic.

A to jest moja szatka ogniem osmalona.

A to są moje prorockie rupiecie.

A to jest moja wykrzywiona twarz.

Twarz, która nie wiedziała, że mogła być piękna.

## Mozaika bizantyjska

- Małzonko Teotropio.

- Małzonku Teodendronie.

- O jakżeś piękna, wąskolica moja.

- O jakżeś urodziwy, sinousty mój.

- Wdzięcznieś znikoma  
pod szatą jak dzwon,  
którą zdejmować  
hałas na całe cesarstwo.

- Wybornieś umartwiony,  
mężu mój i panie,  
wzajemny cieniu cienia mego.

- Upodobałem sobie  
w dłoniach pani mej,  
jako w suchych palemkach  
do opończy wpiętych.

- Aliści wznieść bym je chciała do nieba  
i błagać dla synaczka naszego litości,  
iż nie jest jako my, Teodendronie.

- Wszelki duch, Teotropio.  
Jakież by miał być  
spłodzon w godziwym  
dostojeństwie naszym?

- Wyznamć, a ty posłuchaj.

Grzeszniczka zrodziłam.

Naguśki jak prosiątko,

a tłusty a żwawy,

cały w fałdkach przegubkach

przytoczył się nam.

- Pызaty-li?

- Pызaty.

- Żarłoczny-li?

- Żarłoczny.

- Krew-li z mlekiem?

- Tyś rzekł.

- Co na to archimandryta,

mąż przenikliwej gnozy?

Co na to eremitki,

szkielecice święte?

Jakoż im diablęcego

rozwinąć z jedwabi?

- Wszelako w bożej mocy

cud metamorfozy.

Widząc tedy szpetotę

dziecięcia onego,

nie zakrzykniesz,

a licha za wcześniej nie zbudzisz?

- Bliźniętamiśmy w zgrozie.



Prowadź, Teotropio.

## Ścięcie

Dekolt pochodzi od decollo,  
decollo znaczy ścinam szyję.  
Królowa Szkocka Maria Stuart  
przyszła na szafot w stosownej koszuli,  
koszula była wydekoltowana  
i czerwona jak krwotok.

W tym samym czasie  
w odludnej komnacie  
Elżbieta Tudor Królowa Angielska  
stała przy oknie w sukni białej.  
Suknia była zwycięsko zapięta pod brodę  
i zakończona krochmaloną kryzą.

Myślały chórem:

“Boże, zmiłuj się nade mną”

“Słuszność po mojej stronie”

“żyć czyli zawadzać”

“w pewnych okolicznościach sowa jest córką piekarza”

“To się nigdy nie skończy”

“To się już skończyło”

“Co ja tu robię, tu gdzie nie ma nic”.

Różnica stroju - tak, tej bądźmy pewni.

Szczegół

jest niewzruszony.

## Pieta

W miasteczku, gdzie urodził się bohater,  
obejrzeć pomnik, pochwalić, że duży,  
spłoszyć dwie kury z progu pustego muzeum,  
dowiedzieć się, gdzie mieszka matka,  
zapukać, pchnąć skrzypiące drzwi.  
Trzyma się prosto, czesze gładko, patrzy jasno.  
Powiedzieć, że się przyjechało z Polski.  
Pozdrowić. Pytać głośno i wyraźnie.  
Tak, bardzo go kochała. Tak, zawsze był taki.  
Tak, stała wtedy pod murem więzienia.  
Tak, słyszała tę salwę.  
Żałować, że nie wzięło się magnetofonu  
i aparatu filmowego. Tak, zna te przyrządy.  
W radiu czytała jego list ostatni.  
W telewizji śpiewała stare kołysanki.  
Raz nawet przedstawiała w kinie, aż do łez  
wpatrzona w jupitery. Tak, wzrusza ją pamięć.  
Tak, trochę jest zmęczona. Tak, to przejdzie.  
Wstać. Podziękować. Pożegnać się. Wyjść  
mijając w sieni kolejnych turystów.

## Niewinność

Poczęta na materacu z ludzkich włosów.

Gerda. Eryka. Może Margareta.

Nie wie, naprawdę nie wie o tym nic.

Ten rodzaj wiadomości nie nadaje się  
ani do udzielenia, ani do przyjęcia.

Greckie Erynie są zbyt sprawiedliwe.

Drażniłaby nas dzisiaj ich ptasia przesada.

Irma. Brygida. Może Fryderyka.

Ma lat dwadzieścia dwa albo niewiele więcej.

Zna trzy języki obce konieczne w podróżach.

Firma, w której pracuje, poleca na eksport  
najlepsze materace tylko z włókien sztucznych.

Eksport zbliża narody.

Berta. Ulryka, może Hildegarda.

Piękna nie, ale wysoka i szczupła.

Policzki, szyja, piersi, uda, brzuch  
w pełnym właśnie rozkwicie i blasku nowości.

Radośnie bosa na plażach Europy  
rozpuszcza jasne włosy, długie aż do kolan.

Nie radzę ścinać - powiedział jej fryzjer -  
raz ścięte, już tak bujnie nie odrosną nigdy.

Proszę mi wierzyć.

To jest rzecz sprawdzona  
tausend- und tausendmal.

## **Wietnam**

Kobieto, jak się nazywasz? - Nie wiem.

Kiedy się urodziłaś, skąd pochodzisz? - Nie wiem.

Dlaczego wykopałaś sobie norę w ziemi? - Nie wiem.

Odkąd się tu ukrywasz? - Nie wiem.

Czemu ugryzłaś mnie w serdeczny palec? - Nie wiem.

Czy wiesz, że nie zrobimy ci nic złego? - Nie wiem.

Po czyjej jesteś stronie? - Nie wiem.

Teraz jest wojna, musisz wybrać. - Nie wiem.

Czy twoja wieś jeszcze istnieje? - Nie wiem.

Czy to są twoje dzieci? - Tak.

## **Pisane w hotelu**

Kioto ma szczęście,  
szczęście i pałace,  
skrzydlate dachy,  
schodki w gamach.  
Sędziwe, a zalotne,  
kamienne, a żywe,  
drewniane,  
a tak jakby z nieba w ziemię rosło.  
Kioto jest miastem pięknym  
aż do łez.

Prawdziwych łez  
pewnego pana,  
znawcy zabytków, miłośnika,  
który w rozstrzygającej chwili,  
przy zielonym stole  
zawołał,  
że jest przecież tyle gorszych miast -  
i rozpłakał się nagle  
na swoim krzeselku.

Tak ocalało Kioto  
od Hiroszimy stanowczo piękniejsze.  
Ale to dawne dzieje.  
Nie mogę wiecznie myśleć tylko o tym  
ani pytać bez przerwy,  
co będzie, co będzie.

Na co dzień wierzę w trwałość,  
w perspektywę historii.  
Nie potrafię gryźć jabłek

w nieustannej grozie.

Słyszę, że Prometeusz ten i ów  
chodzi w kasku strażackim  
i cieszy się z wnucząt.

Pisząc te swoje wiersze  
zastanawiam się,  
co w nich, za ile lat  
wyda się śmieszne.

Już tylko czasem  
ogarnia mnie strach.  
W podróży.  
W obcym mieście.

Gdzie z cegły mur jak mur,  
wieża stara, bo stara,  
łupina tynku pod byle zbyć gzymsem,  
pudła mieszkalne nowych dzielnic,  
nic,  
drzewko bezradne.

Co by tu robił  
ten wrażliwy pan,  
miłośnik, znawca.  
Pożal się z gipsu boże.  
Westchnij klasyku  
fabrycznym popiersiem.

Już tylko czasem  
w mieście, jakich wiele.  
W pokoju hotelowym.  
Z widokiem na rynnę

i z niemowlęcym krzykiem  
kota pod gwiazdami.

W mieście, gdzie dużo ludzi,  
więcej niż na dzbanach,  
na filiżankach, spodkach, parawanach.

W mieście, o którym wiem  
tę jedną rzecz,  
że to nie Kioto,  
nie Kioto na pewno.



## Film - lata sześćdziesiąte

Ten dorosły mężczyzna. Ten człowiek na ziemi.  
Dziesięć miliardów komórek nerwowych.  
Pięć litrów krwi na trzysta gramów serca.  
Taki przedmiot powstawał trzy miliardy lat.

Z początku zjawił się w formie chłopczyka.  
Chłopczyk kładł główkę na kolanach cioci.  
Gdzie jest ten chłopczyk. Gdzie są te kolana.  
Chłopczyk zrobił się duży. Ach to już nie to.  
Te lustra są okrutne i gładkie jak jezdnia.  
Wczoraj przejechał kota. Tak, to była myśl.  
Kot został wyzwolony z piekła tej epoki.  
Dziewczyna w samochodzie spojrzała spod rzęs.  
Nie, nie miała tych kolan, o które mu chodzi.  
Właściwie to by sobie dyszał leżąc w piasku.  
On i świat nic nie mają ze sobą wspólnego.  
Czuje się uchem urwanym od dzbana,  
choć dzban nic o tym nie wie i wciąż nosi wodę.  
To jest zdumiewające. Ktoś jeszcze się trudzi.  
Ten dom jest zbudowany. Ta klamka rzeźbiona.  
To drzewo zaszczone. Ten cyrk będzie grał.  
Ta całość chce się trzymać, chociaż jest z kawałków.  
Jak klej ciężkie i gęste sunt lacrimae rerum.  
Ale to wszystko w tle i tylko obok.  
W nim jest ciemność okropna, a w ciemności chłopczyk.

Boże humoru, zrób z nim coś koniecznie.  
Boże humoru, zrób z nim coś nareszcie.

## Relacja ze szpitala

Ciągnęliśmy zapalki, kto ma pójść do niego.

Wypadło na mnie. Wstałem od stolika.

Zbliżała się już pora odwiedzin w szpitalu.

Nie odpowiedział nic na powitanie.

Chciałem go wziąć za rękę - cofnął ją

jak głodny pies, co nie da kości.

Wyglądał, jakby się wstydział umierać.

Nie wiem, o czym się mówi takiemu jak on.

Mijaliśmy się wzrokiem jak w fotomontażu.

Nie prosił ani zostać, ani odejść.

Nie pytał o nikogo z naszego stolika.

Ani o ciebie, Bolku. Ani o ciebie, Tolku. Ani o ciebie, Lolku.

Rozboliła mnie głowa. Kto komu umiera?

Chwaliłem medycynę i trzy fiołki w szklance.

Opowiadałem o słońcu i gasłem.

Jak dobrze, że są schody, którymi się zbiega.

Jak dobrze, że jest brama, którą się otwiera.

Jak dobrze, że czekacie na mnie przy stoliku.

Szpitalna woń przyprawia mnie o mdłości.

## Przylot

Tej wiosny znowu ptaki wróciły za wcześnie.  
Ciesz się, rozumie, instynkt też się myli.  
Zagapi się, przeoczy - i spadają w śnieg,  
i giną licho, giną nie na miarę  
budowy swojej krtani i arcypazurków,  
rzetelnych chrząstek i sumiennych błon,  
dorzecza serca, labiryntu jelit,  
nawy żeber i kręgów w świetnej amfiladzie,  
piór godnych pawilonu w muzeum wszechrzemiosł  
i dzioba mniszej cierpliwości.

To nie jest lament, to tylko zgorszenie,  
że anioł z prawdziwego białka,  
latawiec o gruczołach z pieśni nad pieśniami,  
pojedynczy w powietrzu, nieprzeliczony w ręce,  
tkanka po tkance związany we wspólność  
miejsca i czasu jak sztuka klasyczna  
w barwach skrzydeł -  
spada i kładzie się obok kamienia,  
który w swój archaiczny i prostacki sposób  
patrzy na życie jak na odrzucone próby.

## Tomasz Mann

Drogie syreny, tak musiało być,  
kochane fauny, wielmożne anioły,  
ewolucja stanowczo wyparła się was.  
Nie brak jej wyobraźni, ale wy i wasze  
płetwy z głębi dewonu, a piersi z aluwium,  
wasze dłonie palczaste, a u nóg kopytka,  
te ramiona nie zamiast, ale oprócz skrzydeł,  
te wasze, strach pomyśleć, szkieletki-dwutworki  
nie w porę ogoniaste, rogate z przekory  
albo na gapę ptasie, te zlepki, te zrostki,  
te składanki-cacanki, te dystychy  
rymujące człowieka z czapłą tak kunsztownie,  
że fruwa i nieśmiertelny jest, i wszystko wie  
- przyznacie chyba same, że byłby to żart  
i nadmiar wiekuisty, i kłopoty,  
których przyroda mieć nie chce i nie ma.

Dobrze, że choć pozwala pewnej rybie latać  
z wyzywającą wprawą. Każdy taki wzlot  
to pociecha w regule, to ułaskawienie  
z powszechnej konieczności, dar  
hojniejszy niż potrzeba, żeby świat był światem.

Dobrze, że choć dopuszcza do scen tak zbyt kownych,  
jak dziobak mlekiem karmiący pisklęta.  
Mogłaby się sprzeciwić - i któż by z nas odkrył,  
że jest obrabowany?

A najlepsze to,  
że przeoczyła moment, kiedy pojawił się ssak  
z cudownie upierzoną watermanem ręką.



## Tarsjusz

Ja tarsjusz syn tarsjusza,  
wnuk tarsjusza i prawnuk,  
zwierzątko małe, złożone z dwóch źrenic  
i tylko bardzo już koniecznej reszty;  
cudownie ocalony od dalszej przeróbki,  
bo przysmak ze mnie żaden,  
na kołnierz są więksi,  
gruczoły moje nie przynoszą szczęścia,  
koncerty odbywają się bez moich jelit;  
ja tarsjusz  
siedzę żywy na palcu człowieka.

Dzień dobry, wielki panie,  
co mi za to dasz,  
że mi niczego nie musisz odbierać?  
Swoją wspańiałomyślność czym mi wynagrodzisz?  
Jaką mi, bezcennemu, przyznasz cenę  
za pozowanie do twoich uśmiechów?

Wielki pan dobry -  
wielki pan łaskawy -  
któż by mógł o tym świadczyć, gdyby brakło  
zwierząt niewartych śmierci?  
Wy sami może?  
Ależ to, co już o sobie wiecie,  
starczy na noc bezsenną, od gwiazdy do gwiazdy.

I tylko my nieliczne, z futer nie odarte,  
nie zdjęte z kości, nie strącone z piór,  
uszanowane w kolcach, łuskach, rogach, kłach,  
i co tam które jeszcze ma

z pomyslowego bialka,  
jesteśmy - wielki panie - twoim snem,  
co uniewinnia cię na krótką chwilę.

Ja tarsjusz, ojciec i dziadek tarsjusza,  
zwierzątko małe, prawie że półczegoś,  
co jednak jest całością od innych nie gorszą;  
tak lekki, że gałązki wznoszą się pode mną  
i mogłyby mnie dawno w niebo wziąć,  
gdybym nie musiał raz po raz  
spadać kamieniem z serc  
ach, roztkliwionych;  
ja tarsjusz  
wiem, jak bardzo trzeba być tarsjuszem.

## Do serca w niedzielę

Dziękuję ci, serce moje,  
że nie marudzisz, że się uwijasz  
bez pochlebstw, bez nagrody,  
z wrodzonej pilności.

Masz siedemdziesiąt zasług na minutę.  
Każdy twój skurcz  
jest jak zepchnięcie łodzi  
na pełne morze  
w podróż dookoła świata.

Dziękuję ci, serce moje,  
że raz po raz  
wyjmujesz mnie z całości  
nawet we śnie osobną.

Dbasz, żebym nie przyśniła się na wylot,  
na wylot,  
do którego skrzydeł nie potrzeba.

Dziękuję ci, serce moje,  
że obudziłam się znowu  
i chociaż jest niedziela,  
dzień odpoczynania,  
pod żebrami  
trwa zwykły przedświąteczny ruch.



## Akrobata

Z trapezu na  
na trapez, w ciszy po  
po nagle zmiłkłym werblu, przez  
przez zaskoczone powietrze, szybszy niż  
niż ciężar ciała, które znów  
znów nie zdążyło spaść.

Sam. Albo jeszcze mniej niż sam,  
mniej, bo ułomny, bo mu brak  
brak skrzydeł, brak mu bardzo,  
brak, który go zmusza  
do wstydliwych przefrunięć na nie upierzonej  
już tylko nagiej uwadze.

Mozolnie lekko,  
z cierpliwą zwinnością,  
w wyrachowanym natchnieniu. Czy widzisz,  
jak on się czai do lotu, czy wiesz,  
jak on spiskuje od głowy do stóp  
przeciw takiemu, jakim jest; czy wiesz, czy widzisz,  
jak chytrze się przez dawny kształt przewleka i  
żeby pochwycić w garść rozkołysany świat  
nowo zrodzone z siebie wyciąga ramiona -

piękniejsze ponad wszystko w jednej tej  
w tej jednej, która zresztą już minęła, chwili.

## Fetysz płodności z paleolitu

Wielka Matka nie ma twarzy.  
Na co Wielkiej Matce twarz.  
Twarz nie potrafi wiernie należeć do ciała,  
twarz się naprzykrza ciału, jest nieboska,  
narusza jego uroczystą jedność.  
Obliczem Wielkiej Matki jest wypukły brzuch  
z ślepym pępkiem pośrodku.

Wielka Matka nie ma stóp.  
Na co Wielkiej Matce stopy.  
A gdzież to jej wędrować.  
A po cóż by miała wchodzić w szczegóły świata.  
Ona już zaszła tam, gdzie chciała zajść,  
i waruje w pracowniach pod napiętą skórą.

Jest świat? No to i dobrze.  
Obfity? Tym lepiej.  
Mają się dokąd porozbiegać dzieci,  
mają ku czemu wznosić głowy? Pięknie.  
Tyle go, że istnieje, nawet kiedy śpią,  
aż do przesady cały i prawdziwy?  
I zawsze, nawet za plecami, jest?  
To dużo, bardzo dużo z jego strony.

Wielka Matka dwie rączki ledwie ledwie ma,  
dwie cienkie, skrzyżowane leniwie na piersiach.  
Po cóż by miały życiu błogosławić,  
obdarowywać obdarowanego!  
Jedyną ich powinnością  
jest podczas ziemi i nieba  
wytrwać na wszelki wypadek,

który się nigdy nie zdarzy.  
Zygzakiem leżeć na treści.  
Być prześmiechem ornamentu.

## Jaskinia

Na ścianach nic  
i tylko wilgoć spływa.  
Ciemno i zimno tu.

Ale ciemno i zimno  
po wygasłym ogniu.  
Nic - ale po bizonie  
ochrą malowanym.

Nic - ale nic zaległe  
po długim oporze  
pochylnego łba.  
A więc nic piękne.  
Godne dużej litery.  
Herezja wobec potocznej nicości,  
nienawrócona i dumna z różnicy.

Nic - ale po nas,  
którzyśmy tu byli  
i serca swoje jedli,  
i krew swoją pili.

Nic, czyli taniec nasz  
niedotańczony.  
Twoje pierwsze u płomienia  
uda, ręce, karki, twarze.  
Moje pierwsze święte brzuchy  
z maleńkimi paskalami.

Cisza - ale po głosach.  
Nie z rodu cisz gnuśnych.

Cisza, co kiedyś swoje gardła miała,  
piszczalki i bębni.  
Szczepił ją tu jak dziczkę  
skowyt, śmiech.

Cisza - ale w ciemnościach  
wywyższonych powiekami.  
Ciemności - ale w chłodzie  
przez skórę, przez kość.  
Chłód - ale śmierci.

Na ziemi może jednej  
w niebie? może siódmym?

Wygłowiłeś się z pustki  
i bardzo chcesz wiedzieć.

## Ruch

Ty tu płaczesz, a tam tańczą.  
A tam tańczą w twojej łzie.  
Tam się bawią, tam wesoło,  
tam nie wiedzą nic a nic.  
Omal że migoty luster.  
Omal że płomyki świec.  
Prawie schodki i kruzganki.  
Jakby mankiet, jakby gest.  
Ten lekkoduch wodór z tlenem.  
Te gagatki chlor i sól.  
Fircyk azot w korowodach  
spadających, wlatujących,  
wirujących, pod kopułą.  
Ty tu płaczesz, w to im grasz.  
Eine kleine Nachtmusik.  
Kim jesteś, piękna maseczko.

## **Sto pociech**

Zachciało mu się szczęścia,  
zachciało mu się prawdy,  
zachciało mu się wieczności,  
patrzcie go!

Ledwie rozróżnił sen od jawy,  
ledwie domyślił się, że on to on,  
ledwie wystrugał ręką z pletwy rodem  
krzesiwo i rakieta,  
łatwy do utopienia w łyżce oceanu,  
za mało nawet śmieszny, żeby pustkę śmieszyć,  
oczami tylko widzi,  
uszami tylko słyszy,  
rekordem jego mowy jest tryb warunkowy,  
rozumem gani rozum,  
słowem: prawie nikt,  
ale wolność mu w głowie, wszechwiedza i byt  
poza niemądrym mięsem,  
patrzcie go!

Bo przecież chyba jest,  
naprawdę się wydarzył  
pod jedną z gwiazd prowincjonalnych.  
Na swój sposób żywotny i wcale ruchliwy.  
Jak na marnego wyrodka kryształu -  
dość poważnie zdziwiony.  
Jak na trudne dzieciństwo w koniecznościach stada -  
nieźle już poszczególny.  
Patrzcie go!

Tylko tak dalej, dalej choć przez chwilę,

bodaj przez mgnienie galaktyki małej!  
Niechby się wreszcie z grubsza okazało,  
czym będzie skoro jest.  
A jest - zawzięty.  
Zawzięty, trzeba przyznać, bardzo.  
Z tym kółkiem w nosie, w tej todze, w tym swetrze.  
Sto pociech, bądź co bądź.  
Niebożę. Istny człowiek.



## Wszelki wypadek

Zdarzyć się mogło.

Zdarzyć się musiało.

Zdarzyło się wcześniej. Później.

Bliżej. Dalej.

Zdarzyło się nie tobie.

Ocalałeś, bo byłeś pierwszy.

Ocalałeś, bo byłeś ostatni.

Bo sam. Bo ludzie.

Bo w lewo. Bo w prawo.

Bo padał deszcz. Bo padał cień.

Bo panowała słoneczna pogoda.

Na szczęście był tam las.

Na szczęście nie było drzew.

Na szczęście szyna, hak, belka, hamulec,  
framuga, zakręt, milimetr, sekunda.

Na szczęście brzytwa pływała po wodzie.

Wskutek, ponieważ, a jednak, pomimo.

Co by to było, gdyby ręka, noga,

o krok, o włos

od zbiegu okoliczności.

Więc jesteś? Prosto z uchylonej jeszcze chwili?

Sieć była jednooka, a ty przez to oko?

Nie umiem się nadziwić, namilczeć się temu.

Posłuchaj,

jak mi prędko bije twoje serce.

## Spadające z nieba

Przemija magia, chociaż wielkie moce  
jak były, są. W sierpniowe noce  
nie wiesz, czy gwiazda spada, czy rzecz inna.  
I nie wiesz, czy to właśnie rzecz, co spaść powinna.  
I nie wiesz, czy przystoi bawić się w życzenia,  
wróżyć? Z gwiazdznego nieporozumienia?  
Tak jakby wciąż stulecie było nie- dwudzieste?  
Który błysk ci przysięgnie: iskra, iskra jestem,  
iskra naprawdę z ogona komety,  
nie tylko iskra, co łagodnie znika -  
to nie ja spadam w jutrzejsze gazety,  
to tamta druga, obok, ma defekt silnika.

## Wrażenia z teatru

Najważniejszy w tragedii jest dla mnie akt szósty:  
zmartwychwstanie z pobjawisk sceny,  
poprawianie peruk, szatek,  
wrywanie noża z piersi,  
zdejmowanie pętli z szyi,  
ustawianie się w rzędzie pomiędzy żywymi  
twarzą do publiczności.

Ukłony pojedyncze i zbiorowe:  
biała dłoń na ranie serca,  
dyganie samobójczyni,  
kiwanie świętej głowy.

Ukłony parzyste:  
wściekłość podaje ramię łagodności,  
ofiara patrzy błogo w oczy kata,  
buntownik bez urazy stąpa przy boku tyrana.

Deptanie wieczności noskiem złotego trzewiczka.  
Rozpędzanie morałów rondem kapelusza.  
Niepoprawna gotowość rozpoczęcia od jutra na nowo.

Wejście gęsiego zmarłych dużo wcześniej,  
bo w akcie trzecim, czwartym oraz pomiędzy aktami.  
Cudowny powrót zaginionych bez wieści.  
Myśl, że za kulisami czekali cierpliwie,  
nie zdejmując kostiumu,  
nie zmywając szminki,  
wzrusza mnie bardziej niż tyrady tragedii.

Ale naprawdę podniosłe jest opadanie kurtyny

i to, co widać jeszcze w niskiej szparze:  
tu oto jedna ręka po kwiat spiesznie sięga,  
tam druga chwyta upuszczony miecz.  
Dopiero wtedy trzecia, niewidzialna,  
spełnia swoją powinność:  
ściska mnie za gardło.

## Głosy

Ledwie ruszysz nogą, zaraz jak spod ziemi  
Aboryginowie, Marku Emiliuszu.

W sam środek Rutulów już ci grzęźnie pięta.  
W Sabinów, Latynów wpadasz po kolana.  
Już po pas, po szyję, już po dziurki w nosie  
Ekwów masz i Wolsków, Lucjusz Fabiuszu.

Do uprzykrzenia pełno tych małych narodów,  
do przesytu i mdłości, Kwintusie Decjusz.

Jedno miasto, drugie, sto siedemdziesiąte.  
Upór Fidenatów. Zła wola Felisków.  
Ślepotą Ectran. Chwiejność Antemnatów.  
Obrażliwa niechęć Labikan, Pelignów.  
Oto co nas, łagodnych, zmusza do surowości  
za każdym nowym wzgórzem, Gajuszu Kleliuszu.

Gdybyż nie zawadzali, ale zawadzają  
Aurunkowie, Marsowie, Spuriuszu Manliuszu.

Tarkwiniowie stąd zowąd, Etruskowie zewsząd.  
Wolsyńczycy ponadto. Na domiar Wejenci.  
Ponad sens Aulerkowie. Item Sappianaci  
ponad ludzką cierpliwość, Sekstusie Oppiuszu.

Narody małe rozumieją mało.  
Otacza nas tępota coraz szerszym kręgiem.  
Naganne obyczaje. Zacofane prawa.  
Nieskuteczni bogowie, Tytusie Wiliuszu.

Kopce Herników. Roje Murrycynów.  
Owadzia mnogość Westynów, Samnitów.  
Im dalej, tym ich więcej, Serwiuszu Folliuszu.

Godne ubolewania są małe narody.  
Ich lekkomyślność wymaga nadzoru  
za każdą nową rzeką, Aulusie Juniuszu.

Czuję się zagrożony wszelkim horyzontem.  
Tak bym ujął tę kwestię, Hostiuszu Meliuszu.

Na to ja, Hostiusz Meliusz, Appiuszu Papiuszu,  
powiadam tobie: Naprzód. Gdzieś wreszcie jest koniec świata.

## Listy umarłych

Czytamy listy umarłych jak bezradni bogowie,  
ale jednak bogowie, bo znamy późniejsze daty.  
Wiemy, które pieniądze nie zostały oddane.  
Za kogo prędko za mąż powychodziły wdowy.  
Biedni umarli, zaślepieni umarli,  
oszukiwani, omylni, niezgrabnie zapobiegliwi.  
Widzimy miny i znaki robione za ich plecami.  
Łowimy uchem szelest dartych testamentów.  
Siedzą przed nami śmieszni jak na bułkach z masłem  
albo rzucają się w pogoń za zwianymi z głów kapeluszami.  
Ich zły gust, Napoleon, para i elektryczność,  
ich zabójcze kuracje na uleczalne choroby,  
niemądra apokalipsa według świętego Jana,  
fałszywy raj na ziemi według Jana Jakuba...  
Obserwujemy w milczeniu ich pionki na szachownicy,  
tyle że przesunięte o trzy pola dalej.  
Wszystko, co przewidzieli, wypadło zupełnie inaczej,  
albo trochę inaczej, czyli także zupełnie inaczej.  
Najgorliwsi wpatrują się nam ufnie w oczy,  
bo wyszło im z rachunku, że ujrzą w nich doskonałość.

## Prospekt

Jestem pastylka na uspokojenie.  
Działam w mieszkaniu,  
skutkuję w urzędzie,  
siadam do egzaminów,  
staję na rozprawie,  
starannie sklejam rozbite garnuszki -  
tylko mnie zażyj,  
rozpuść pod językiem,  
tylko mnie połknij,  
tylko popij wodą.

Wiem, co robić z nieszczęściem,  
jak znieść złą nowinę,  
zmniejszyć niesprawiedliwość,  
rozjaśnić brak Boga,  
dobrać do twarzy kapelusz żałobny.  
Na co czekasz -  
zaufaj chemicznej litości.

Jesteś jeszcze młody (młoda),  
powinieneś (powinnaś) urządzić się jakoś.  
Kto powiedział,  
że życie ma być odważnie przeżyte?  
Oddaj mi swoją przepaść -  
wymoszczę ją snem,  
będziesz mi wdzięczny (wdzięczna)  
za cztery łapy spadania.

Sprzedaj mi swoją duszę.  
Inny się kupiec nie trafi.



Innego diabła już nie ma.

## **Fotografia tłumu**

Na fotografii tłumu  
moja głowa siódma z kraja,  
a może czwarta na lewo  
albo dwudziesta od dołu;

moja głowa nie wiem która,  
już nie jedna, nie jedyna,  
już podobna do podobnych,  
ni to kobieca, ni męska;

znaki, które mi daje,  
to znaki szczególne żadne;

może widzi ją Duch Czasu,  
ale się jej nie przygląda:

moja głowa statystyczna,  
co spożywa stal i kable  
najspokojniej, najglobalniej;

bez wstydu, że jakakolwiek,  
bez rozpacz, że wymienna;

jakbym wcale jej nie miała  
po swojemu i z osobna;

jakby cmentarz odkopano  
pełen bezimiennych czaszek  
o niezłej zachowalności

pomimo umieralności;

jakby ona już tam była,  
moja głowa wszelka, cudza -

gdzie, jeżeli coś wspomina,  
to chyba przyszłość głęboką.

## Odkrycie

Wierzę w wielkie odkrycie.

Wierzę w człowieka, który dokona odkrycia.

Wierzę w przestrach człowieka, który dokona odkrycia.

Wierzę w bladość jego twarzy,  
w mdłości, w zimny pot na wardze.

Wierzę w spalenie notatek,  
w spalenie ich na popiół,  
w spalenie co do jednej.

Wierzę w rozsypanie liczb,  
w rozsypanie ich bez żalu.

Wierzę w pośpiech człowieka,  
w dokładność jego ruchów,  
w nieprzymuszoną wolę.

Wierzę w stłuczenie tablic,  
w wylanie płynów,  
w zgaszenie promienia.

Twierdzę, że to się uda  
i że nie będzie za późno,  
i rzecz rozegra się w nieobecności świadków.

Nikt się nie dowie, jestem tego pewna,  
ani żona, ani ściana,  
nawet ptak, bo nuż wyśpiewa.

Wierzę w nieprzyłożoną rękę,

wierzę w złamaną karierę,  
wierzę w zaprzepaszczonej pracę wielu lat.  
Wierzę w sekret zabrany do grobu.

Szybują mi te słowa ponad regułami.  
Nie szukają oparcia w jakichkolwiek przykładach.  
Moja wiara jest silna, ślepa i bez podstaw.

## Szkielet jaszczura

Kochani Bracia,  
widzimy tutaj przykład złych proporcji:  
oto szkielet jaszczura piętrzy się przed nami -

Drodzy Przyjaciele,  
na lewo ogon w jedną nieskończoność,  
na prawo szyja w drugą -

Szanowni Towarzysze,  
pośrodku cztery łapy, co ugrzęzły w móle  
pod pagórem tułowia -

Łaskawi Obywatele,  
przyroda się nie myli, ale lubi żarty:  
proszę zwrócić uwagę na tę śmieszna główkę -

Panie, Panowie,  
taka główka niczego nie mogła przewidzieć  
i dlatego jest główką wymarłego gada -

Czcigodni Zgromadzeni,  
za mało mózgu, za duży apetyt,  
więcej głupiego snu niż mądrej trwogi -

Dostojni Goście,  
pod tym względem jesteśmy w dużo lepszej formie,  
życie jest piękne i ziemia jest nasza -

Wyborni Delegaci,  
niebo gwiazdziste nad myślącą trzcina,  
prawo moralne w niej -

Prześwietna Komisjo,  
udało się raz  
i może tylko pod tym jednym słońcem -

Naczelna Rado,  
jakie zręczne ręce,  
jakie wymowne usta,  
ile głowy na karku -

Najwyższa Instancjo,  
cóż za odpowiedzialność na miejsce ogona -

## Pogoń

Wiem, że powita mnie cisza, a jednak.  
Nie wrzawa, nie fanfary, nie poklask, a jednak.  
Ani dzwony na trwozę, ani sama trwoga.

Nie liczę nawet na listeczek suchy,  
cóż mówić o pałacach srebrnych i ogrodach,  
czcigodnych starcach, sprawiedliwych prawach,  
mądrości w kulach z kryształu, a jednak.

Rozumiem, że nie po to chodzę po Księżycu,  
żeby szukać pierścionków, pogubionych wstążek.  
Oni wszystko zawczasu zabierają z sobą.

Niczego, co by mogło świadczyć, że.  
Śmieci, gratów, obierków, szpargałów, okruszyn,  
odłamków, wiórków, stłuczków, ochłapów, rupieci.

Ja, naturalnie, schylam się tylko po kamyk,  
z którego nie odczytam, dokąd się udali.  
Nie lubią mi zostawiać znaku.  
Są niezrównani w sztuce zacierania śladów.

Od wieków znam ich talent do znikania w porę,  
ich boską nieuchwytność za rogi, za ogon,  
za rąbek szatki rozdętej w odlocie.  
Nigdy im włos nie spadnie z głowy, abym miał.

Wszędzie o myśl chytrzejsi niż ja sam,  
zawsze o krok przede mną, nim dobiegnąć zdążę,  
wystawiany szydlerczo na trudy pierwszeństwa.

Nie ma ich, nigdy nie było, a jednak  
muszę to sobie raz po raz powtarzać,  
starać się nie być dzieckiem, któremu się zdaje.

A to, co mi spod stóp tak nagle uskoczyło,  
nie uskoczyło daleko, bo przydeptane upadło,  
i choć wrywa się jeszcze  
i wydaje ze siebie przeciągłe milczenie,  
to cień - nazbyt mój własny, bym czuł się u celu.



## Przemówienie w biurze znalezionych rzeczy

Straciłam kilka bogiń w drodze z południa na północ,  
a także wielu bogów w drodze ze wschodu na zachód.  
Zgasło mi raz na zawsze parę gwiazd, rozstąpi się niebo.  
Zapadła mi się w morze wyspa jedna, druga.  
Nie wiem nawet dokładnie, gdzie zostawiłam pazury,  
kto chodzi w moim futrze, kto mieszka w mojej skorupie.  
Pomarło mi rodzeństwo, kiedy wypełzłam na ląd  
i tylko któraś kostka świętuje we mnie rocznicę.  
Wyskakiwałam ze skóry, trwoniłam kręgi i nogi,  
odchodziłam od zmysłów bardzo dużo razy.  
Dawno przymknęłam na to wszystko trzecie oko,  
machnęłam na to płetwą, wzruszyłam gałęziami.

Podziało się, przepadło, na cztery wiatry rozwiało.  
Sama się sobie dziwię, jak mało ze mnie zostało:  
pojedyncza osoba w ludzkim chwilowo rodzaju,  
która tylko parasol zgubiła wczoraj w tramwaju.

## Zdumienie

Czemu w zanadto jednej osobie?  
Tej a nie innej? I co tu robię?  
W dzień co jest wtorkiem? W domu nie gnieździe?  
W skórze nie łusce? Z twarzą nie liściem?  
Dlaczego tylko raz osobiście?  
Właśnie na ziemi? Przy małej gwiazdzie?  
Po tylu erach nieobecności?  
Za wszystkie czasy i wszystkie glony?  
Za jamochłony i nieboskłony?  
Akurat teraz? Do krwi i kości?  
Sama u siebie z sobą? Czemu  
nie obok ani sto mil stąd,  
nie wczoraj ani sto lat temu  
siedzę i patrzę w ciemny kąt  
- tak jak z wzniesionym nagle łbem  
patrzy warczące zwane psem?

## Urodziny

Tyle naraz świata ze wszystkich stron świata:  
moreny, mureny i morza i zorze,  
i ogień i ogon i orzeł i orzech -  
jak ja to ustawię, gdzie ja to położę?  
Te chaszczę i paszczę i leszczę i deszczę,  
bodziszki, modliszki - gdzie ja to pomieszczę?  
Motyle, goryle, beryle i trele -  
dziękuję, to chyba o wiele za wiele.  
Do dzbanka jakiego ten łopian i łopot  
i łubin i popłoch i przepych i kłopot?  
Gdzie zabrać kolibra, gdzie ukryć to srebro,  
co zrobić na serio z tym żubrem i zebra?  
Już taki dwutlenek rzecz ważna i droga,  
a tu ośmiornica i jeszcze stonoga!  
Domyślam się ceny, choć cena z gwiazd zdarta -  
dziękuję, doprawdy nie czuję się warta.  
Nie szkoda to dla mnie zachodu i słońca?  
Jak ma się w to bawić osoba żyjąca?  
Na chwilę tu jestem i tylko na chwilę:  
co dalsze przeoczę, a resztę pomylę.  
Nie zdążę wszystkiego odróżnić od próżni.  
Pogubię te bratki w pośpiechu podróży.  
Już choćby najmniejszy - szalony wydatek:  
fatyga łodygi i listek i płatek  
raz jeden w przestrzeni, od nigdy, na oślep,  
wzgardliwie dokładny i kruchy wyniośle.

## Autotomia

W niebezpieczeństwie strzykwa dzieli się na dwoje:  
jedną siebie oddaje na pożarcie świata,  
drugą sobą ucieka.

Rozpada się gwałtownie na zgubę i ratunek,  
na grzywnę i nagrodę, na co było i będzie.

W połowie ciała strzykwy roztwiera się przepaść  
o dwóch natychmiast obcych sobie brzegach.

Na jednym brzegu śmierć, na drugim życie.  
Tu rozpacz, tam otucha.

Jeśli istnieje waga, szale się nie chwieją.  
Jeśli jest sprawiedliwość, oto ona.  
Umrzeć ile konieczne, nie przebrawszy miary.  
Odrośnąć ile trzeba z ocalonej reszty.

Potrafimy się dzielić, och prawda, my także.  
Ale tylko na ciało i urwany szept.  
Na ciało i poezję.

Po jednej stronie gardło, śmiech po drugiej,  
lekki, szybko milknący.

Tu ciężkie serce, tam non omnis moriar,  
trzy tylko słówka jak trzy piórka wlotu.

Przepaść nas nie przecina.  
Przepaść nas otacza.

## Klasyk

Kilka grud ziemi, a będzie zapomniane życie.  
Muzyka wyswobodzi cię z okoliczności.  
Ucichnie kaszel mistrza nad menuetami.  
I oderwane będą kataplazmy.  
Ogień strawi perukę pełną kurzu i wszy.  
Znikną plamy inkaustu z koronkowego mankietu.  
Pójdą na śmietnik trzewiki, niewygodni świadkowie.  
Skrzypce zabierze sobie uczeń najmniej zdolny.  
Powymowane będą z nut rachunki od rzeźnika.  
Do mysich brzuchów trafią listy biednej matki.  
Unicestwiona zgaśnie niefortunna miłość.  
Oczy przestaną łzawić.  
Różowa wstążka przyda się córce sąsiadów.  
Czasy, chwalić Boga, nie są jeszcze romantyczne.  
Wszystko, co nie jest kwartetem,  
będzie jako piąte odrzucone.  
Wszystko, co nie jest kwintetem,  
będzie jako szóste zdmuchnięte.  
Wszystko, co nie jest chórem czterdziestu aniołów,  
zmlknie jako psi skowyt i czkawka żandarma.  
Zabrany będzie z okna wazon z aloesem,  
talerz z trutką na muchy i słoik z pomadą  
i odsłoni się widok - ależ tak! - na ogród,  
ogród, którego nigdy tu nie było.  
No i teraz słuchajcie, słuchajcie, śmiertelni,  
w zdumieniu pilnie nadstawiajcie ucha,  
o pilni, o zdumieni, o zasłuchani śmiertelni,  
słuchajcie - słuchający - zamienieni w słuch -

## **Pochwała snów**

We śnie  
maluję jak Vermeer van Delft.

Rozmawiam biegle po grecku  
i nie tylko z żywymi.

Prowadzę samochód,  
który jest mi posłuszny.

Jestem zdolna,  
piszę wielkie poematy.

Słyszę głosy  
nie gorzej niż poważni święci.

Bylibyście zdumieni  
światnością mojej gry na fortepianie.

Fruwam, jak się powinno,  
czyli sama z siebie.

Spadając z dachu  
umiem spaść miękko w zielone.

Nie jest mi trudno  
oddychać pod wodą.

Nie narzekam:  
udało mi się odkryć Atlantyde.

Cieszy mnie, że przed śmiercią

zawsze potrafię się zbudzić.

Natychmiast po wybuchu wojny  
odwracam się na lepszy bok.

Jestem, ale nie muszę  
być dzieckiem epoki.

Kilka lat temu  
widziałam dwa słońca.

A przedwczoraj pingwina.  
Najzupełniej wyraźnie.

## Miłość szczęśliwa

Miłość szczęśliwa. Czy to jest normalne, czy to poważne, czy to pożyteczne -  
co świat ma z dwojga ludzi,  
którzy nie widzą świata?

Wywyższeni ku sobie bez żadnej zasługi,  
pierwsi lepsi z miliona, ale przekonani,  
że tak stać się musiało - w nagrodę za co? - Za nic;  
światło pada znikąd -  
dlaczego właśnie na tych, a nie innych?  
Czy to obraża sprawiedliwość? Tak.  
Czy narusza troskliwie piętrzone zasady,  
strąca ze szczytu moral? Narusza i strąca.

Spójrzcie na tych szczęśliwych:  
gdyby się chociaż maskowali trochę,  
udawali zgnębienie krzepiąc tym przyjaciół!  
Słuchajcie, jak się śmieją - obraźliwie.  
Jakim językiem mówią - zrozumiałym na pozór.  
A te ich ceremonie, ceregiele,  
wymyślne obowiązki względem siebie -  
wygląda to na zмовę za plecami ludzkości!

Trudno nawet przewidzieć, do czego by doszło,  
gdyby ich przykład dał się naśladować.  
Na co liczyć by mogły religie, poezje,  
o czym by pamiętano, czego zaniechano,  
kto by chciał zostać w kręgu.

Miłość szczęśliwa. Czy to jest konieczne?  
Takt i rozsądek każą milczeć o niej  
jak o skandalu z wysokich sfer Życia.



Wspaniałe dziatki rodzą się bez jej pomocy.  
Przenigdy nie zdołałyby zaludnić ziemi,  
zdarza się przecież rzadko.

Niech ludzie nie znający miłości szczęśliwej  
twierdzą, że nigdzie nie ma miłości szczęśliwej.

Z tą wiarą lżej im będzie i żyć, i umierać.

**\*\*\* (Nicość przenicowała się także i dla mnie...)**

Nicość przenicowała się także i dla mnie.  
Naprawdę wywróciła się na drugą stronę.  
Gdzież ja się to znalazłam -  
od stóp do głowy wśród planet,  
nawet nie pamiętając, jak mi było nie być.

O mój tutaj spotkany, tutaj pokochany,  
już tylko się domyślam z ręką na twoim ramieniu,  
ile po tamtej stronie pustki na nas przypada,  
ile tam ciszy na jednego tu świerszcza,  
ile tam braku łąki na jeden tu listeczek szczawiu,  
a słońce po ciemnościach jak odszkodowanie  
w kropli rosy - za jakie głębokie tam susze!

Gwiazdne na chybił trafił! Tutejsze na opak!  
Rozpięte na krzywiznach, ciężarach, szorstkościach i ruchach!  
Przerwa w nieskończoności dla bezkresnego nieba!  
Ulga po nieprzestrzeni w kształcie chwiejnej brzozy!

Teraz albo nigdy wiatr porusza chmurą,  
bo wiatr to właśnie to, co tam nie wieje.  
I wkracza żuk na ścieżkę w ciemnym garniturze świadka  
na okoliczność długiego na krótkie życie czekania.  
A mnie tak się złożyło, że jestem przy tobie.  
I doprawdy nie widzę w tym nic  
zwyczajnego.

## Pod jedną gwiazdką

Przepraszam przypadek, że nazywam go koniecznością.  
Przepraszam konieczność, jeśli jednak się mylę.  
Niech się nie gniewa szczęście, że biorę je jak swoje.  
Niech mi zapomną umarli, że ledwie tlą się w pamięci.  
Przepraszam czas za mnogość przeoczonego świata na sekundę.  
Przepraszam dawną miłość, że nową uważam za pierwszą.  
Wybaczcie mi, dalekie wojny, że noszę kwiaty do domu.  
Wybaczcie, otwarte rany, że kłuję się w palec.  
Przepraszam wołających z otchłani za płytę z menuetem.  
Przepraszam ludzi na dworcach za sen o piątej rano.  
Daruj, szczerza nadziejo, że śmieję się czasem.  
Darujcie mi, pustynie, że z łyżką wody nie biegnę.  
I ty, jastrzębiu, od lat ten sam, w tej samej klatce,  
zapatrzony bez ruchu zawsze w ten sam punkt.  
Odpuść mi, nawet gdybyś był ptakiem wypchanym.  
Przepraszam ścięte drzewo za cztery nogi stołowe.  
Przepraszam wielkie pytania za małe odpowiedzi.  
Prawdo, nie zwracaj na mnie zbyt bacznej uwagi.  
Powago, okaż mi wspaniałomyślność.  
Ścierp, tajemnico bytu, że wyskubuję nitki z twego trenu.  
Nie oskarżaj mnie, duszo, że rzadko cię miewam.  
Przepraszam wszystko, że nie mogę być wszędzie.  
Przepraszam wszystkich, że nie umiem być każdym i każdą.  
Wiem, że póki żyję, nic mnie nie usprawiedliwia,  
ponieważ sama sobie stoję na przeszkodzie.  
Nie miej mi za złe, mowo, że pożyczam patetycznych słów,  
a potem trudu dokładam, żeby wydały się lekkie.

## Wielka liczba

Cztery miliardy ludzi na tej ziemi,  
a moja wyobraźnia jest, jak była.  
Źle sobie radzi z wielkimi liczbami.  
Ciągłe ją jeszcze wzrusza poszczególność.  
Fruwa w ciemnościach jak światło latarki,  
wyjawia tylko pierwsze z brzegu twarze,  
tymczasem reszta w prześlepienie idzie,  
w niepomyślenie, w nieodżałowanie.  
Ale tego sam Dante nie zatrzymałby.  
A cóż dopiero, kiedy nie jest się.  
I choćby nawet wszystkie muzy do mnie.

Non omnis moriar - przedwczesne strapienie.  
Czy jednak cała żyję i czy to wystarcza.  
Nie wystarczało nigdy, a tym bardziej teraz.  
Wybieram odrzucając, bo nie ma innego sposobu,  
ale to, co odrzucam, liczebniejsze jest,  
gęstsze jest, natarczwsze jest niż kiedykolwiek.  
Kosztam nieopisanych strat - wierszyk, westchnienie.  
Na gromkie powołanie odzywam się szeptem.  
Ile przemilczam, tego nie wypowiem.  
Mysz u podnóża macierzystej góry.  
Życie trwa kilka znaków pazurkiem na piasku.  
Sny moje - nawet one nie są, jak należałoby, ludne.  
Więcej w nich samotności niż tłumów i wrzawy.  
Wpadnie czasem na chwilę ktoś dawno umarły.  
Klamką porusza pojedyncza ręka.  
Obrasta pusty dom przybudówkami echa.  
Zbiegam z progu w dolinę  
cichą, jakby niczyją, już anachroniczną.

Skąd się jeszcze ta przestrzeń bierze we mnie -  
nie wiem.

## Psalm

O, jakże są nieszczelne granice ludzkich państw!  
Ile to chmur nad nimi bezkarnie przepływa,  
ile piasków pustynnych przesypuje się z kraju do kraju,  
ile górskich kamyków stacza się w cudze włości  
w wyzywających podskokach!

Czy muszę tu wymieniać ptaka za ptakiem jak leci  
albo jak właśnie przysiada na opuszczonym szlabanie?  
Niechby to nawet był wróbel - a już ma ogon ościenny,  
choć dzióbek jeszcze tutejszy. W dodatku - ależ się wierci!

Z nieprzeliczonych owadów poprzestanę na mrówce,  
która pomiędzy lewym a prawym butem strażnika  
na pytanie skąd dokąd - nie poczuwa się do odpowiedzi.

Och, zobaczyć dokładnie cały ten nieład naraz,  
na wszystkich kontynentach!  
Bo czy to nie liguster z przeciwnego brzegu  
przemycza poprzez rzekę stutysięczny listek?  
Bo kto, jeśli nie mątwą zuchwale długoramienna,  
narusza świętą strefę wód terytorialnych?

Czy można w ogóle mówić o jakim takim porządku,  
jeżeli nawet gwiazd nie da się porozsuwać,  
żeby było wiadomo, która komu świeci?

I jeszcze to naganne rozpościeranie się mgły!  
I pylenie się stepu na całej przestrzeni,  
jak gdyby nie był wcale wółprzecięty!  
I rozleganie się głosów na usłużnych falach powietrza:  
przywoływawczych pisków i znaczących bulgotów!

Tylko co ludzkie potrafi być prawdziwie obce.  
Reszta to lasy mieszane, krecia robota i wiatr.

## Portret kobiecy

Musi być do wyboru.  
Zmieniać się, żeby tylko nic się nie zmieniło.  
To łatwe, niemożliwe, trudne, warte próby.  
Oczy ma, jeśli trzeba, raz modre, raz szare,  
czarne, wesołe, bez powodu pełne łez.  
Śpi z nim jak pierwsza z brzegu, jedyna na świecie.  
Urodzi mu czworo dzieci, żadnych dzieci, jedno.  
Naiwna, ale najlepiej doradzi.  
Słaba, ale udźwignie.  
Nie ma głowy na karku, to będzie ją miała.  
Czyta Jaspersa i pisma kobiece.  
Nie wie, po co ta śrubka, i zbuduje most.  
Młoda, jak zwykle młoda, ciągle jeszcze młoda.  
Trzyma w rękach wróbelka ze złamanym skrzydłem,  
własne pieniądze na podróż daleką i długą,  
tasak do mięsa, kompres i kieliszek czystej.  
Dokąd tak biegnie, czy nie jest zmęczona.  
Ależ nie, tylko trochę, bardzo, nic nie szkodzi.  
Albo go kocha, albo się uparła.  
Na dobre, na niedobre i na litość boską.



## Cebula

Co innego cebula.  
Ona nie ma wnętrzości.  
Jest sobą na wskroś cebula,  
do stopnia cebuliczności.  
Cebulasta na zewnątrz,  
cebulowa do rdzenia,  
mogłaby wejrzeć w siebie cebula bez przerażenia.

W nas obczyzna i dzikość  
ledwie skórą przykryta,  
inferno w nas interny,  
anatomia gwałtowna,  
a w cebuli cebula,  
nie pokrętne jelita.  
Ona wielekroć naga,  
do głębi i tym podobna.

Byt niesprzeczny cebula,  
udany cebula twór.  
W jednej po prostu druga,  
w większej mniejsza zawarta,  
a w następnej kolejna,  
czyli trzecia i czwarta.  
Dośrodkowa fuga.  
Echo złożone w chór.

Cebula, to ja rozumiem:  
najnadobniejszy brzuch świata.  
Sam się aureolami  
na własną chwałę oplata.  
W nas - tłuszcze, nerwy, żyły,

śluzy i sekretności.  
I jest nam odmówiony  
idiotyzm doskonałości.

## Życie na poczekaniu

Życie na poczekaniu.  
Przedstawienie bez próby.  
Ciało bez przymiarki.  
Głowa bez namysłu.

Nie znam roli, którą gram.  
Wiem tylko, że jest moja, niewymienna.

O czym jest sztuka,  
zgadywać muszę wprost na scenie.

Kiepsko przygotowana do zaszczytu życia,  
narzucone mi tempo akcji znoszę z trudem.  
Improwizuję, choć brzydzę się improwizacją.  
Potykam się co krok o nieznaną rzecz.  
Mój sposób bycia zatraça zaściankiem.  
Moje instynkty to amatorszczyzna.  
Trema, tłumacząc mnie, tym bardziej upokarza.  
Okoliczności łagodzące odczuwam jako okrutne.

Nie do cofnięcia słowa i odruchy,  
nie doliczone gwiazdy,  
charakter jak płaszcz w biegu dopinany -  
oto żalosne skutki tej nagłości.

Gdyby choć jedną srodę przeciwzyć zawczasu  
albo choć jeden czwartek raz jeszcze powtórzyć!  
A tu już piątek nadchodzi z nie znanym mi scenariuszem.  
Czy to w porządku - pytam  
(z chrypką w głosie,  
bo nawet mi nie dano odchrząknąć za kulisami).

Złudna jest myśl, że to tylko pobieżny egzamin  
składany w prowizorycznym pomieszczeniu. Nie.  
Stoję wśród dekoracji i widzę, jak są solidne.  
Uderza mnie precyzja wszelkich rekwizytów.  
Aparatura obrotowa działa od długiej już chwili.  
Pozapalane zostały najdalsze nawet mgławice.  
Och, nie mam wątpliwości, że to premiera.  
I cokolwiek uczynię,  
zamieni się na zawsze w to, co uczyniłam.

## Utopia

Wyspa, na której wszystko się wyjaśnia.

Tu można stanąć na gruncie dowodów.

Nie ma dróg innych oprócz drogi dojścia.

Krzaki aż uginają się od odpowiedzi.

Rośnie tu drzewo Słusznego Domysłu,  
o rozwikłanych odwiecznie gałęziach.

Olśniewająco proste drzewo Zrozumienia  
przy źródle, co się zwie Ach Więc To Tak.

Im dalej w las, tym szerzej się otwiera  
Dolina Oczwistości.

Jeśli jakieś zwątpienie, to wiatr je rozwiewa.

Echo bez wywołania głos zabiera  
i wyjaśnia ochoczo tajemnice światów.

W prawo jaskinia, w której leży sens.

W lewo jezioro Głębokiego Przekonania.  
Z dna odrywa się prawda i lekko na wierzch wypływa.

Góruje nad doliną Pewność Niewzruszona.  
Ze szczytu jej roztacza się istota rzeczy.

Mimo powabów wyspa jest bezludna,

a widoczne po brzegach drobne ślady stóp  
bez wyjątku zwrócone są w kierunku morza.

Jak gdyby tylko odchodzono stąd  
i bezpowrotnie zanurzano się w topieli.

W życiu nie do pojęcia.

## Liczba Pi

Podziwu godna liczba Pi  
trzy koma jeden cztery jeden.  
Wszystkie jej dalsze cyfry też są początkowe  
, pięć dziewięć dwa, ponieważ nigdy się nie kończy.  
Nie pozwala się objąć sześć pięć trzy pięć spojrzeniem,  
osiem dziewięć obliczeniem,  
siedem dziewięć wyobraźnią,  
a nawet trzy dwa trzy osiem żartem, czyli porównaniem  
cztery sześć do czegokolwiek dwa sześć cztery trzy na świecie.  
Najdłuższy ziemski wąż po kilkunastu metrach się urywa.  
Podobnie, choć trochę później, czynią węże bajeczne.  
Korowód cyfr składających się na liczbę Pi  
nie zatrzymuje się na brzegu kartki,  
potrafi ciągnąć się po stole, przez powietrze,  
przez mur, liść, gniazdo ptasie, chmury, prosto w niebo,  
przez całą nieba wzdętość i bezdenność.  
O jak krótki, wprost mysi, jest warkocz komety!  
Jak wąty promień gwiazdy, że zakrzywia się w lada przestrzeni!  
A tu dwa trzy piętnaście trzysta dziewiętnaście  
mój numer telefonu twój numer koszuli  
rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty trzeci szóste piętro  
ilość mieszkańców sześćdziesiąt pięć groszy  
obwód w biodrach dwa palce szarada i szyfr,  
w którym słowiczku mój a leć, a piej  
oraz uprasza się zachować spokój,  
a także ziemia i niebo przeminą,  
ale nie liczba Pi, co to, to nie,  
ona wciąż swoje niezłe jeszcze pięć,  
nie byle jakie osiem,  
nie ostatnie siedem,  
przynaglając, ach, przynaglając gnuśną wieczność

do trwania.